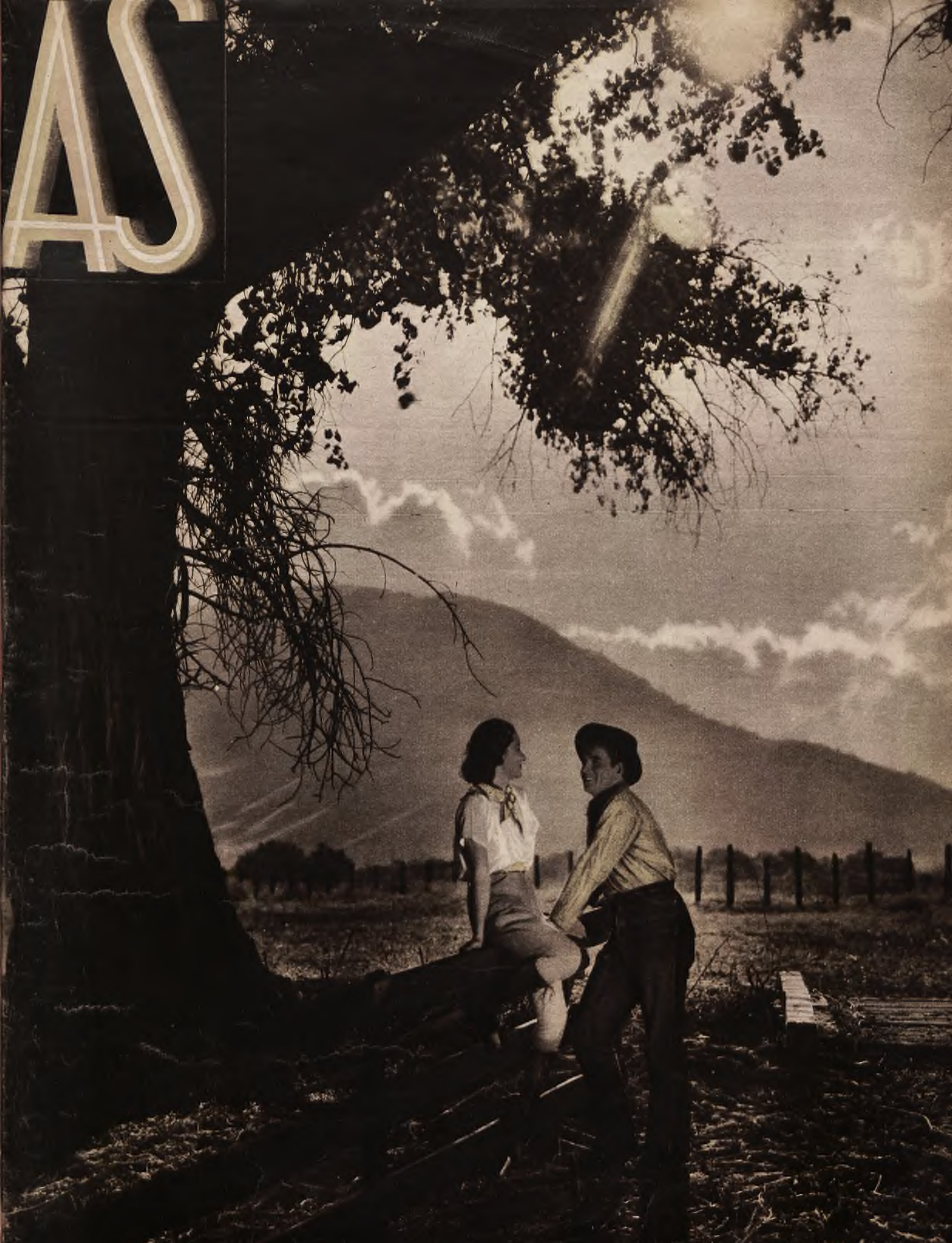
AS



Nr. 3
17 STYCZNIA 1937 R.

DZIEWCZĘ
Z „DZIKIEGO ZACHODU
BARBARA READ I NOACH BEE

BAL MODY w Warszawie

Przy udziale najwytworniejszych sfer stolicy, oraz licznych przedstawicieli świata artystycznego i literackiego, odbył się w ub. sobotę w salach Bristolu doroczny Bal Mody, stanowiący clou warszawskiego karnawału. Największą atrakcją balu jest wybór „Królowej Mody", która tę godność piastuje do następnych wyborów, oraz „Najpiękniejszej Pani Warszawy" i ich zastępczyń.



Na lewo: Urocza artystka scen warszawskich p. Kazimiera Skalska.



Na prawo: P. Tamara Wiszniewska, zdobyła tytuł „wicekrólowej urody".



P. Nina Andryczówna obrana została na Balu Mody „królową mody na rok 1937".



Na lewo: Pani Roma Glan, dama dworu „królowej mody"



Na prawo: Pani Lucyna Szczepańska, „wicekrólowa mody"

Tym razem berło Królowej Mody przypadło w udziale pięknej, młodziutkiej artystce TKKT., Andryczównie. Jej królewska mość zjawiła się na balu w niezwykle efektownej toalecie z crêpe ciré, koloru herbacianej róży w złoty delikatny deseń. Za najpiękniejszą panią Warszawy uznano urodziwą artystkę Teatru Polskiego, pannę Wilczównę, z której urodą harmonizowała cudownie toaleta z różowej koronki na spodzie z czarnej gazy. Niemniej efektownie przedstawia się wicekrólowa piękności, młoda artystka filmowa Tamara Wiszniewska, cała w tiulach stylowej, empirowej sukni, tonowanej w kolorach od jasno różowego do fraise. Wśród toalet wyszczególniono prześliczną suknię z popielatej koronki, z przybraniem z velour chiffon koloru cardinal pani Kazimiery Skalskiej, piękną szafirową velour chiffon z pelerynką ze srebrnych lisów p. Grossówny oraz czarną drapowaną p. Popielewskiej. or.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 3 **Niedziela 17 stycznia 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 3-GO:



Fot. Br. Lemański — Gdynia

Wojna domowa w Hiszpanji dawno już przeszła z pierwotnego konfliktu lokalnego w drugą fazę, międzynarodową, powodując coraz to bardziej niepokojące komplikacje. Zwłaszcza od chwili, kiedy do portów rządowych poczęły napływać wojenne statki sowieckie, a celem „równowagi" również okręty niemieckie, Komitet Nieinterwencji, zanim zdołał rozpocząć jakąkolwiek realną akcję, zakończył faktycznie swój żywot. Uszkodzenie przez niemiecki pancernik „Königsberg" hiszpańskiego okrętu „Soton" zaostrzyło jeszcze znacznie położenie międzynarodowe, powodując ostrą wymianę not między czerwonym rządem, a komendantem floty niemieckiej. Na zdjęciu: Pancernik „Königsberg" podczas swej wizyty złożonej Polskiej Marynarce Wojennej w Gdyni w roku ubiegłym.

Extrapocztą i dyliżansem

Coprawda pierwsze lata bieżącego stulecia przyniosły już stolicom Polski innowację doskonałą w postaci konnych tramwai miejskich, które mistrz Franciszek Kostrzewski wyszydzał na łamach tygodniowych ilustracyj, coprawda kończono już ostatecznie po pięćdziesięciu latach uciążliwej budowli, kolej warszawsko-moskiewską, którą polecił budować car Mikołaj I, coprawda w związku z tą budową zesłano dwie partje okradających skarb „prikażczyków" na Sybir, a dwudziestu biednych inżynierów, stało się dzięki temu, miljonerami, ale jeszcze na ziemiach polskich, a zwłaszcza na wschodniej ich połaci zachowały się w czerstwej i jarej starości ekstrapoczty i dyliżanse.

Była to impreza państwowa, koncesjonowana, którą dzierżawiono antreprenerom, ciągnącym z tego zyski, a nadzór państwowy ograniczał się jedynie do tego, że raz na lat dziesiątek, zjeżdżała jakaś urzędowa figura wymundurowana, klnąca siarczyście jak wachmistrz od dragonów... na urzędową inspekcję. Urzędowa ta inspekcja zaczynała się od badania czystości samowaru, na poczhalterni, gromy dwugłowego orła łagodziła 25 rublówka i na lat następny dziesiątek, po wyboistych drogach, mogły się kolebać, terkocząc stare wehikuły.

O Boże jedyny! Przecież to zaledwie ćwierćwiecze, a na tych szlakach, na kórych się tłukły czterokonne ekstrapoczty, szybują dzisiaj Lockhedy i Junkersy. Nie tak to dawno przecież, bo w ramach jednego krótkiego człowieczego żywota.

~~Działo się zazwyczaj w ten sposób~~, że co piątek do Turowa zajeżdżała ekstrapoczta, a z otwarciem jej drzwiczek wysypywało się na bruk małego miasteczka stłoczone grono podróżników, a za nimi jak śmiecie kolorowe od wstążek dziewczęcych, plotki, wiadomości i nowiny z całego świata.

— Imaginuj sobie sąsiad... szambelanowa Szumowiczowa mastyksy odmładzające ekstrapocztą z Paryża sobie sprowadzić kazała. Powiada jej lokaj, że co wieczora odwarem onym cuchliwym twarz i ciało grzeszne okładać sobie każe i że jej jakieś plamy na podbródku od tego się okazały.

— Powiadają, że w Warszawie prikazem najwyższym podwórka smołą wylewać rozkazano i że jakowyś Niemce przyjechały kanalizację budować.

— Nic z tych niemieckich faramuszków nie będzie, a tylko rozpusta i zgorszenie.

— Tak, tak masoni te rzeczy wymyślają na zgubę narodu, bo patrz pan czy to jest zdrowo takimi czarnymi ingredencjami podwórca domów mieszkalnych wylewać. Świat się kończy... Świat się kończy...

~~Takie i temu podobne wiadomości~~ oprócz prasy przynosiła ekstrapoczta na zagubionej wśród puszcz Polesia mieścinie, naturalnie poza wiadomościami prasowemi, których wyliczyć należy. „Kłosy", tygodnk dla rolnika. „Wieś i dwór", doskonale redagowane przez ś. p. Kazimierza Laskowskiego. „Poradnik dla wiejskich gospodyń", a dla starszych viveurów i nieco wyblakłych lwów salonowych — bardzo pikantny tygodnik „Bocian" lub „Kolce". Nierzadko też kiedy ekstrapocztą przybywała do miasteczka i okolicy, jakaś nowa postać, jakaś mademoiselle lub fräulein nieszczęsna, na tortury skazana przez swych przyszłych pupilów guwernantka, albo kupiec drzewny w wypuszczonej na spodnie jedwabnej koszuli i z rozłożystą brodą, albo żydek jakiś z miejska ubrany za drzewnymi interesami. Jegomoście i jejmościunie podróżowali już rzadko ekstradyliżansami. I tylko wtedy, gdy podróż daleka, gdy na czas dłuższy okolicę się opuszczało, wynajmowało się karetkę, by wiozła domowe lary i penaty, rozwrzeszczane „panicze" i wyfjokowane damy do stacji kolejowej, która o wiorst 79 od okolicy odległą była. Gdy jechała pani szambelanowa Szumowiczowa, to aż trzy karetki wlokły się jedna za drugą w dwanaście koni, pełne panien respektownych, tołubów, waliz z monogramami i pudeł z podręczną apteką. Niewygodne to było, a podróż po bezdrożach Polesia, której drogi podobne były do dróg z epoki Biskupina, nastręczały zawsze nielada przygód niespodziewanych i ekstrawagancyj. To koło odleciało, to cały pojazd zarżnął się aż po osie w grząskiem błocie, to żydek z poczhalterni nabierał po drodze swoich krewnych i znajomych, co wywoływało atak furji u któregoś z bardziej sangwinistycznych podróżnych szlachetków i wtedy wnętrze pojazdu wyglądało jak mały fragment matejkowskiej „Bitwy pod Grunwaldem", tak, że dla uspokojenia podróżnych, należało pojazd zatrzymywać, przeszkadzających podróżnych usuwać siłą, co stanowiło zawsze nielada urozmaicenie wojażu, ale zarazem i zwłokę w ekspedycji. Że pociągi jednak odchodziły od stacyjki raz na dwadzieścia cztery godziny i ludzie wogóle wtedy mieli więcej czasu, podobna wkładka nadprogramowa nikogo nie raziła, a wszyscy się cieszyli, że się coś nareszcie w podróży dzieje. Potem, gdy siemiatyccy hrabiowie, wyłamując się z tradycji po raz pierwszy na Polesiu jeździć zaczęli dymiącym, sapiącym i astmatycznie zirytowanym samochodzikiem, przed którym chłopi się chowali po chatach, jak przed wozem Antychrysta, a spotykane konie rwały uprząż i ponosiły, brać obywatelska za honor sobie zaczęła uważać odbywanie dalekich podróży własnymi pojazdami (chociażby one trwać miały nawet cztery doby), a poczhalternia poza kupcami wozić zaczęła już tylko pakiety i sprawunki. Powoli też z nazwy bardzo urzędowej pana poczmistrza zaczęto używać tytułu „bałagulszczyk", co jest degradacją znaczną, bo określa tylko zawód człowieka, rozwożącego towary.

Wieleż wspomnień się ciśnie o poczciwych karetkach, że opowiadaćby je można godziny całe.



Dyliżans. Akwarela Piotra Michałowskiego w Muzeum Narodowem w Krakowie.



Niemiecki zegar kurantowy z r. 1810 z trzema postaciami pocztylionów na tle budynku pocztowego. Z Muzeum Narodowego w Krakowie.

Zostawmy wspominki te najserdeczniejsze o tych podróżach do domu rodzinnego po długiej nieobecności, może rzewne i serdeczne, ale przeć bardzo osobiste. Mówmy o rzeczach wesołych. Ciotka moja Marja, anonsując swój przyjazd na letnie wywczasy do nas na wiligjaturę, uczyniła to temi słowy:

„Ponieważ, kochani moi wybieram się do Was na czas dłuższy, a kochanej swej papużki Lorki nie zaufałabym w Warszawie nikomu, przeto równocześnie z listem ekstrapocztą wysyłam papugę, którą po uregulowaniu opłaty zechciejcie odebrać od poczciarza...".

List przyszedł, ale papugi nie było. Przypuszczano w domu, że ciocia Mańcia, jak zawsze roztargniona, list wysłała, a papugę opakowywuje jeszcze z całym spokojem w Warszawie, starając się jej klatkę urządzić jaknajwygodniej na tak daleką i uciążliwą drogę. Ale mijały dni, ciocia Mańcia już dawno gościła u nas i pod opieką zacnego doktora Górskiego przychodziła do zdrowia po szoku nerwowym, który spowodowało prawdopodobnie zaginięcie ptaka gadającego, gdy w tem przychodzi wieść od popa ze wsi odległej o trzy mile, że papuga się znalazła, że jest i cieszy się zdrowiem. Czterech umyślnych konnych rozesłano w okolicę i zaczęto badać, skądby Lorka miała nagle się znaleźć w duchownem otoczeniu wiejskiego parocha. Wieści, które wysłańcy przywieźli były aż nadto oryginalne. Oto jeden wysłannik z miasteczka przywiózł wieść, że żydek poczhalter oraz jego pomocnik rozchorowali się ciężko, że jeden rabin już nad nimi odmawiał specjalne modlitwy uzdrawiające, a felczer stawiał bańki, że papuga jest zdrowa i wesoła i nawet cerkiewne psalmy śpiewać potrafi, ale jak się to wszystko stało, jaki związek ma z tą tajemniczą wędrówką papugi, dowiedzieliśmy się dopiero potem. Odebrał żydek poczmistrz klatkę z papugą z pociągu, ustawił ptaka na dachu karetki tuż za sobą i ze swym pomocnikiem na koźle i pojechali. Odjechali już byli dwie mile, gdy wtem ni stąd ni zowąd za plecami poczciarzy ktoś głośno zawołał:

— A kto to?

Poczciarz pewien, że to ktoś z podróżnych zapytuje w ten sposób o nazwisko, schyla się do karetki i mówi:

— Dawyd jestem... Z turoskiej poczhalternie.

Podróżni przyjęli oświadczenie do wiadomości i poczta potoczyła się dalej. W Łubianowie jednak wysiadają wszyscy podróżni i ekstrapoczta z papugą jedzie dalej. Nie odjechali jednak mili, gdy wtem z pustej karety pada ponowne zapytanie:

— A kto to?

Dwaj pocztowcy popatrzyli na siebie nieco skonsternowani, ale przezorny Dawidek zatrzymuje konie, schyla się do pudła karety i z chwilą, gdy przekonany był o tem, że nikogo z pasażerów niema, przerażony słyszy ponownie ciekawe zapytanie.

Zadrżała dusza w wątłem ciele furmana, spojrzał na swego pomocnika i drżącym głosem woła:

— Nochym! Nochym! Macht a nyszt dy anegdot!

Przypuszczał bowiem, że to jego pomocnik robi mu kawał. Gdy jednak ruszono dalej, niesforny ptak w klatce nudząc się zapewne długotrwałą podróżą, ni stąd ni zowąd zaczyna im nucić po francusku za plecami wyjątek z modnej podówczas „Madame Angot".

Tego było zawiele. Jak Turów Turowem nikt nigdy ptaka gadającego nie widział, ba, nie słyszał o nim. Dwaj woźnice spojrzeli po sobie, a przekonawszy się, że zbledli jaknajdokładniej, krzyknęli przeraźliwym głosem:

— A czort! a djawoł! a myszygine fogel!

I skokiem, któregoby im pozazdrościł ryś puszczański, zsunęli się z kozła i porzucając karetę, pobiegli pięć mil pieszo do Turowa, gdzie z wrażeń i zmęczenia zachorowali poważnie. Jakaż była dalsza historja tej dziwnej przesyłki ekstrapocztą? Pojazdem opuszczonym zaopiekowali się chłopi, zawezwali strażnika, który pojazd odprowadził do Turowa, opuszczoną jednak na trakcie papugą zaopiekował się pobliski paroch. Papuga coprawda zapomniała francuskich piosenek, a śpiewała rzewnym głosem cerkiewne psalmy, ale za to przeplatając je tak soczystemi wyrażeniami, że ciocia Mańcia posłyszawszy je mdlała, tak, że musiano ptaka raz na zawsze wystawić do czeladnej!

— — — — — — — — —

Ekstrapocztą i dyliżansem, rzemiennym dyszlem przez dawne czasy biegną wspomnienia. Zda się, że słyszę zgrzyt kół starej karetki, zda się, że czuję kolebanie się jej nadwątlonych resorów po ziemi ojczystej, wyboistej ziemi, utraconej ojcowizny.

Kiedyś po raz pierwszy w życiu powiedziano mi w takiej ekstrapoczcie najpiękniejsze słowo: „kocham"... Więc kocham te wspomnienia.

Feliks Dangel.



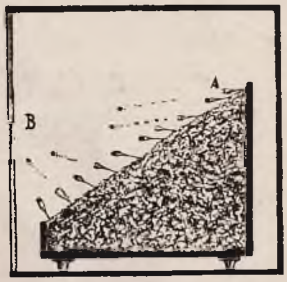
Pocztylion niemiecki, obsługujący jeden z dyliżansów kursujących jeszcze na przestrzeni 10 tys. km.



Na lewo: Jak za dawnych czasów sunie lasami stara „postkucza" obładowana paczkami.

TAJEMNICE ROŚLIN

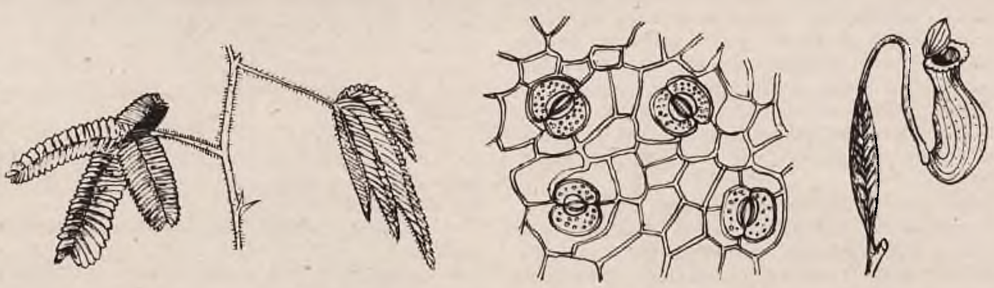




Powyżej: Doświadczenie, obrazujące światłoczułość: grzybek Pilobolus crystallinus umieszczony w ciemnej skrzyni o jednym oszklonym otworze odrzuca swe zarodnie ku otworowi świetlnemu.

Na lewo: Pędy dwóch gatunków roślin wijących się naokoło tyczki: A. gatunek Pharbitis wije się w lewo, B. gatunek Myrsiphyllum Asparagoides wije się w prawo.

Wszystkie rysunki: inż. W. Müller.



Powyżej od lewej: Liść rozpostarty Czułka Wstydliwego (Mimoza pudica), na prawo liść tej rośliny zwisający wskutek dotknięcia. — Naskórek liścia Trzmieliny japońskiej (Evonymus japonicus) od strony wewnętrznej. Widoczne cztery szparki oddechowe grające doniosłą rolę jako regulatory wymiany gazów i oddychania. — Liść owadożernego dzbanecznika jest równocześnie pułapką dla owadów.

Niesione wiatrem, unoszone prądem wody, to znów wyrzucane siłą pękającego owocu, ukryte w wnętrznościach zwierząt, czy przyczepione do sierści, wędruje w świat nasienie rośliny. Znieruchomiała matka, kłębowiskiem korzeni nierozerwalnie związana z ziemią, wysila cały swój genjusz, by zapewnić młodemu pokoleniu możność wyruszenia w daleki świat. Klon i lipa, jako pierwsi na świecie znawcy zasad awjacji, opatrują swe nasiona w misterne śmigi, nasiona ostów wyposażone są w przedziwne spadochrony, których by im pozazdrościł niejeden lotnik. Rośliny nadbrzeżne powierzają swe nasiona falom wodnym — inne znów, otoczone smacznemi owocami, bywają zjadane przez zwierzęta i po przejściu przewodu pokarmowego zostają wydalone na zewnątrz.

Momordyka, zwana „pistoletem damskim", skromna roślinka z rodziny dyniowatych — za najlżejszem dotknięciem wyrzuca w stanie dojrzałym ze swych owoców strugę cieczy, zmieszanej z nasieniem na odległość 4 do 5 metrów.

Tak oderwane od rośliny macierzystej zaczyna nasionko prowadzić samodzielne życie, poczyna walczyć o byt, pełen bohaterskich wysiłków i zmagań. Jeżeli śledzić będziemy cały cykl rozwojowy rośliny od momentu, gdy nasienie wyrusza w świat, osiada i zaczyna kiełkować, aż do chwili stanu dojrzałego i śmierci, zaobserwujemy liczne zupełnie dla nas niezrozumiałe fakty, nad których wyjaśnieniem daremnie trudzi się człowiek. Umieszczone w ziemi nasienie zaczyna pęcznieć, skórka pęka, końce wydłużają się, tworząc łodygę i korzeń. Jeżeli kiełkujące nasienie odwrócimy, to po pewnym czasie zobaczymy, że wyrastająca łodyga i korzeń odwrócą się i przyjmą znów właściwą pozycję — korzeń zwróci się znów do ziemi, a łodyga pionowo zacznie wznosić się w górę. Jakaś niewidzialna siła zmusza je do obrania właściwego kierunku. Największe przeszkody roślina wytrwale pokonuje. Botanik niemiecki Brandis wspomina o korzeniu, który na drodze swojej natrafił na starą podeszwę trzewika. Celem przebycia przeszkody, jakiej napewno nigdy nie napotkał, korzeń rozdzielił się na szereg włókien i przesunął się dziurkami w podeszwie, pozostałemi po kołkach. Po przebyciu zapory korzeń znów połączył się w jedną całość.

Niejednokrotnie zaobserwowano, że rośliny, rosnące na starych murach wypuszczają korzenie aż do ziemi, a z czasem, gdy korzeń zgrubieje i sił nabierze, odczepiają się od muru i zaczynają życie w nowych warunkach.

Niektóre rośliny mają zdolność przenoszenia się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu lepszej gleby. W tym celu roślina wypuszcza długie korzenie, które gdy natrafią na żyzniejszą glebę wypuszczają nowe pędy. Stary krzak marnieje, usycha, a wytwarza się nowy, młody — na dogodniejszem miejscu. Jakaż siła niewidzialna ciągnie korzeń w dół i każe mu wytrwale zwalczać wszelkie przeszkody? Jakim sposobem wyczuwa korzeń w pobliżu żyzniejszą czy wilgotniejszą ziemię? — Zjawisko dążenia ku środkowi ziemi zwiemy geotrapizmem, albo ziemiozwrotnością. Licznych uczonych nęciło oddawna zbadanie tego zjawiska. Już w 1806 r. Knight przeprowadził dokładne badania nad geotropizmem. Umieszczał on kiełkujące nasiona na obracającem się kole. Przez szybki obrót starał się Knight z pomocą siły odśrodkowej znieść siłę przyciągania. Okazało się, że jeżeli siła odśrodkowa jest większa, niż siła przyciągania, to korzeń rośnie w jej kierunku czyli, że roślina nie odróżnia siły odśrodkowej od siły ciążenia i obie siły powodują wzrost kierunkowy korzenia. Znacznie później ponowili badania nad geotropizmem Sachs, Hofmeister, Frank i Noll. Gdy Knight dowodził, że zagłębianie się korzenia w ziemię jest czysto mechaniczne, powodowane siłą ciężkości, to inni uczeni wysunęli szereg hipotez, dopatrujących się istoty geotropizmu w wewnętrznych właściwościach plazmy. Do dziś jednak nie znamy dokładnie całego procesu ziemiozwrotności u roślin. Jest to jedna z wielu tajemnic, zazdrośnie strzeżonych przez rośliny. Często w piwnicy obserwujemy ziemniaki, które wypuszczają długie pędy, bohatersko dążące do okien i najmniejszych szpar, przez które przedziera się światło do piwnicy. Taki nienaturalny wzrost rośliny powodowany jest brakiem światła. Światła! więcej światła żądają także rośliny naszych mieszkań, zwracając pożądliwie swe liście ku oknu. Najskuteczniej na wzrost roślin działają promienie niebieskie i fioletowe, a także niedostępne dla oka promienie pozafioletowe.

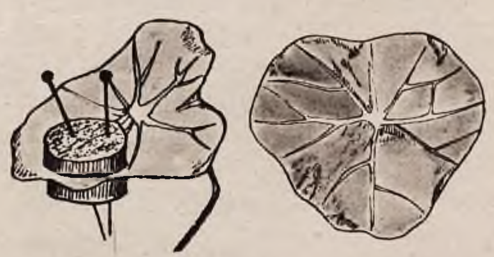
Jeżeli jedna strona łodygi jest stale oświetlona, komórki jej mają ściany grubsze, zawartość obfitszą, lecz wzrost jej odbywa się słabiej. Przeciwna strona, pozostająca w cieniu ma komórki większe, o cieńszych ściankach, wypełnione przeważnie wodą, lecz rośnie wskutek tego szybciej od strony oświetlonej. Skutkiem tego strona oświetlona staje się wklęsłą, przeciwna wypukłą i cała łodyga musi w rezultacie zwrócić się ku słońcu, jak to widzimy właśnie w roślinach pielęgnowanych w mieszkaniach. To zachowanie się roślin nazywamy światłozwrotnością lub heliotropizmem. Co powoduje jednak, że strona wystawiona na słońce rośnie wolniej od pozostającej w cieniu — nie wiemy. Są to bezwątpienia procesy fotochemiczne, którym naświetlona światłem plazma komórkowa podlega, ale przebieg tego procesu chemicznego jest nam znany.

Przypatrzmy się skolei niektórym właściwościom pnących się roślin. Jeżeli w ścianie, około której rośnie dzikie wino, przed wiosną wbijemy ćwieczki, to zobaczymy, że roślina je odszuka i zaczepi się, aby się oprzeć należycie. Znany rolnikom szkodnik, kanianka, obwija się tylko koło roślin żywych, a unika zwykłych suchych tyk, około których przechodzi mimo. Widocznie więc roślina ta ma swoje upodobania i gust i potrafi w nieznany nam sposób rozpoznawać rośliny żywe od martwych.

Ruch obrotowy roślin pnących się uważany jest przez niektórych autorów za czysto samodzielny, inni dopatrują się w tem siły ciążenia. Roztrzygnięcie tej kwestji spornej jeszcze nie nastąpiło. Rośliny tak jak zwierzęta śpią w nocy, a do jakiego stopnia sen im jest potrzebny, można zaobserwować u roślin w wielkich miastach i mieszkaniach stale oświetlonych. Rośliny takie asymilują wprawdzie bardzo intensywnie, ale wyczerpują się bardzo szybko i schną. W mieszkaniach, gdzie długo świeci się światło, często zdarzają się zabawy, kwiaty bardzo szybko usychają.

Bardzo wielka liczba roślin zamyka kielichy kwiatowe przed snem, dla uchronienia znajdującego się w nich pyłku płodonośnego od szkodliwego wpływu chłodu nocnego i rosy. Thalia, roślina wodna, gdy nadchodzi wieczór, robi toaletę, zamyka kielich, zanurza się w wodę i wychyla się dopiero nad ranem. Lotos otwiera kielich o 6 godz. wieczorem, a o północy zamyka go i zasypia. O godz. 6 rano budzi się, by znów około południa schronić się przed żarem słońca pod wodę. Są rośliny pilne i leniwe, jedne wstają o brzasku dnia, drugie o dziewiątej przed południem — trzecie elegantki — dopiero w południe. Linneusz, na podstawie stałego budzenia się ze snu rozmaitych roślin ułożył zegar kwiatowy.

Rośliny czułe są również na zmiany atmosfery, jak najlepsze barometry. Roślina, zwana kurzyślep, budzi się zwykle o godz. dziewiątej zrana i otwiera kielich. Jeżeli jednak ma być deszcz, roślina nie otwiera kielicha kwiatowego. Szkarłatny biedrzyniec oczekuje deszczu, mając kwiaty zamknięte i tym sposobem przepowiada pogodę na



Doświadczenie, obrazujące rolę światła w pobieraniu pokarmów przez rośliny. Liść nasturcji osłonięty od światła przez nasadzenie korka. Na prawo ten sam liść po usunięciu korka, zabarwiony jodem. W miejscu korka jod wykazuje brak produktów asymilacji.

12—24 godz. Biedronek mleczny, ozdabiający łąki białemi swemi kulkami, zachowuje swój kształt okrągły tylko wtedy, gdy jest pogoda. Z chwilą zbliżającego się deszczu ściąga niteczki i tworzy małą miotełkę. Groch meksykański podnosi listki na pogodę, a opuszcza na słotę i przepowiada zmianę pogody na dwie doby w okręgu 10—12 mil. Nasz kasztan przy pięknej pogodzie, choćby pochmurnej, rozpuszcza liście na płask, jak dłoń ludzka z rozpostartemi palcami, a opuszcza i ściąga je przy nadchodzącym deszczu. Są to wszystko zjawiska, których człowiek nie zna dokładnie. Jeszcze ciekawsze są ruchy, które wykonują rośliny owadożerne. Pomijając cały mechanizm, który powoduje zamykanie się pułapki z nieostrożnym owadem — to zaobserwowano, że roślina niejednokrotnie usiłuje zbliżyć się do swej ofiary. Tak np. dr. Gentry zrobił bardzo ciekawe doświadczenie: przebił muchę szpilką i umieścił owad w pewnej odległości od owadożernej rosiczki. W czterdzieści minut później liść zaczął zbliżać się do muchy, a w godzinę później owad został już uchwycony przez macki rośliny. Kto powiedział roślinie o obecności muchy w niedalekiem od niej położeniu, a jeżeli sama go dostrzegła, to gdzież znajduje się ten organ, odbierający wrażenia? Przypuszczamy, że ruchy te są wywołane podrażnieniem przez chemiczne substancje jak białka, fosforany i t. d. Ale znów nie możemy o tem nic pewnego powiedzieć.

Podrażnienia mechaniczne, jak ukłucia, zranienia i uderzenia wywołują również gwałtowne ruchy u niektórych roślin. Najbardziej znanym przykładem jest czułek wstydliwy, roślina podzwrotnikowa, zawdzięczająca swoją nazwę ogromnej wrażliwości. Jeżeli liść dozna wstrząśnięcia, to wszystkie jego części wykonywują bardzo szybkie ruchy, które całkiem zmieniają jego postać. Jeszcze ciekawsze jest zachowanie się rośliny, gdy nie zostanie cała podrażniona, tylko podrażnimy ją w pewnym miejscu. Najlepiej dokonuje się to przez przypalenie zapałką. W jednej chwili stulają się wszystkie listki ku górze, po nich zaś wszystkie pary listków, aż do nasady ogonka. Z tego jednego listka może się podrażnienie przenieść i na łodygę, często aż na odległość 50 cm oraz na inne liście. Prędkość przebiegu podrażnienia po zranieniu może wynosić do 10 cm na sekundę. Ciekawe jest, że czułek nie reaguje na podrażnienia poniżej 15 st. C. i powyżej 40 st. C. Wrażliwy więc jest tylko w pewnej określonej temperaturze. I w tym wypadku nie brak szeregu hipotez, które usiłują tłumaczyć to zjawisko, ale żadna z nich nie tłumaczy go nam bez zarzutu.

Odporność roślin na mróz i posuchę i choroby, sposoby reagowania na bodźce zewnętrzne, dowody dużej inteligencji roślin w nieprzewidzianych wypadkach, jak z wyżej cytowanym korzeniem i podeszwą — to dziedzina mało znana, czekająca na cierpliwą i mozolną pracę naukowca.

Inż. Wł. Müller.



LILY PONS

Kiedy „Wielki Niemowa" po raz pierwszy przemówił z wyżyn srebrnego ekranu, stało się jasnem, że od tej chwili dla całej plejady artystów, stojących dotąd zdala od filmu, droga do stolicy X Muzy stanęła szeroko otworem — co więcej, w niejednym wypadku przemieniła się w prawdziwą *via triumphalis*. Każdy z nas kinomanów pamięta te czasy, w których alfą i omegą powodzenia artysty w filmie była jego aparycja i talent mimiczny. Głos, dykcja — nie mówiąc już o talencie śpiewaczym — przez wiele lat nie posiadały najmniejszej nawet rubryki w kontraktach wytwórni kinematograficznych.

Aż przyszedł dzień, gdy te zapoznane przez film sławy „La Scali", „Metropolitan" i innych wielkich teatrów operowych świata znalazły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w jednym szeregu z renomowanemi gwiazdami ekranu, a nawet niejednokrotnie zdystansowały je, lub wręcz odsunęły w cień zapomnienia. I tym razem jednak aparycja — jeśli chodzi o kobiety — musiała się znaleźć na pierwszem miejscu. Dlatego taka Grace Moore, Gladys Swarthout i ostatnio Lily Pons, słynące wśród śpiewaczek z urody i wdzięku, odrazu mogły liczyć na świetne engagement.

Lily Pons, o której niedawno pisaliśmy w obszernym artykule p. t. „Najwyższy kurs na giełdzie artystycznej", odznacza się frapującym materjałem głosowym. Już jej debjut w dniu 3 stycznia 1931 w nowojorskiej „Metropolitan" przyniósł młodej, bo zaledwie 25 lat wówczas liczącej artystce, olbrzymi nawet na amerykańskie stosunki sukces, ugruntowując odrazu jej stanowisko jako jednej z najwybitniejszych śpiewaczek koloraturowych świata. Dalsze występy w miastach Stanów Zjednoczonych i w Ameryce Południowej przemieniły zwykłe tournée śpiewacze w prawdziwy pochód triumfalny. Lily Pons stała się od tego czasu ulubienicą publiczności, która powita jej debjut na ekranie napewno z największem zadowoleniem. **el.**

Antinea kresów

NOWELA

WANDA ROJCEWICZOWA

Spotkałam wczoraj profesora Jerzbara, jednego z najbardziej interesujących ludzi, jakich znam: wielka wiedza ogólna i wiedza — życia; przytem — rozmach i skupiona, świadoma siebie siła

Ciekawy człowiek.

Wyskoczył z samochodu i poszliśmy razem.

— Ponieważ jest taki usus, któremu nie chcę się w danym wypadku przeciwstawić, że ludziom — którym się stale dobrze życzy, trzeba to oficjalnie oznajmić w końcu grudnia, recte — na początku stycznia — czynię to z radością, pani Wando.

Tylko — chciałbym zapytać (tu — zgasł uśmiech jego oczu i całkiem poważnie skończył) czy pani jest pewna, ale to — zupełnie pewna, że Nowy Rok się rozpoczął?

Spojrzałam na niego uważnie i chcąc rozproszyć niepojęty lęk, który mną na to nieoczekiwane zapytanie — owładnął, zaczęłam żartować:

— A wie pan — to świetne! Niebywałe! Co za fantazja! Ależ to wspaniały pomysł literacki!

Tylko niech pan tego nie mówi głośno na ulicy, bo gotów się podkręcić jaki głodny tematu „literata" (ach, jacy oni są na ten żer ducha łasi...) i — plagjat gotowy...

A temat doprawdy — bogaty.

Proszę się zastanowić: szeregi ludzi, w każdem mieście każdego kraju, przystrojonych w godowe szaty i — naturalną lub sztuczną wesołość, ściskających się szczerze lub nieszczerze, składających życzenia — mnóstwo życzeń i odbierających je nawzajem; czekających na tę dwudziestą czwartą godzinę — „chwilę wielce osobliwą". narodzin Nowego Roku — a tu nic!

Zegary na całym świecie stanęły i żadna siła ludzka ruszyć ich z miejsca nie jest w stanie!

Czas stoi.

Ludzie stracili grunt pod nogami: jedna z wielu zbiorowych, odwiecznych umów — zawiodła.

Ogarnia ich — szaleństwo!

A Nowego Roku — jak niema, tak niema...

Co robić z więdnącemi kwiatami? Z winem — płynącem apatycznie, z bezradnie otwartych, szklanych gardzieli flaszek?

Co robić z życzeniami? Z temi miljardami życzeń — „najlepszych", które teraz — to już napewno — nie spełnią się nigdy...

Prysła ostatnia iluzja — ludzkość ogarnia panika...

— Pani Wando, przerwał gwałtownie Jarzbar — niech pani nie drwi! Przestanie pani napewno żartować, gdy wszystko opowiem.

— Muszę panią widzieć; od dwu dni szukam panią telefonicznie. Czy mogę przyjść dzisiaj wieczorem?

Przyszedł poważny i skupiony; tylko w jego oczach, zazwyczaj spokojnych, ciemnych oczach o ciekawej barwie akwamaryny — pałało zatajone szaleństwo, które mnie w swój magnetyczny wir pociągnęło...

Milczałam — wiedząc, jakiem niebezpieczeństwem jest nieodpowiednie, lub tylko — zbyteczne słowo; jak czasami „nie ta" intonacja — spłoszyć może duszę ludzką, której tak jest trudno wypłynąć na powierzchnię...

Otoczeni błękitnemi pasmami dymu, milcząc, snuliśmy w półmroku cichego saloniku przędziwo swych myśli.

— Wie pani, zaczął cicho Jarzbar — zaczęło się to wszystko normalnie, czyli — banalnie.

Pojechałem na święta na wieś — do rodziny.

Na wigilję zjechało się dużo osób; nastrój „sielski-anielski": sytości wszelkich patrjarchalnych nawyków.

Tradycja.

Przy wieczerzy ktoś do kogoś powiedział: podobno nasza piękna sąsiadka powróciła z zagranicy — zdaje się z frontu.

— Czy na długo? Wątpię; wiesz przecie, że „Antinea" nie lubi przebywać na jednem miejscu.

— Antinea?

Imię to — obudziło mnie z letargu myślowego.

— O kim mówicie? Skąd tu Atlantyda, w kresowym dworze? Roześmiałem się.

— A jest, jest, — odrzekł mi pewien młody człowiek — i nawet blisko stąd; tylko nie radziłbym panu jej poznawać.

— Całe szczęście, że nie na wszystkich ludzi robi tak szalone wrażenie, sama bowiem dobiera sobie odpowiednie objekty psychiczne, określając poprostu: to mój człowiek.

— Innych nie uznaje Nie egzystują dla niej.

— Ja nigdy nie byłem na liście... — dodał cicho, jakby odpowiadając na swoje myśli, a nie na pytanie, zresztą nie sformułowane przeze mnie.

Gorycz, żal i jakby nienawiść — zadrgały na jego twarzy, która zaraz potem zamknęła się, jakby ciężka księga.

— W kilka dni później, w przeddzień Sylwestra — na Sylwestra bowiem obiecałem już być z powrotem w Warszawie — gdy tylko uspokoiła się szalejąca od kilku dni śnieżyca, w cudne, mroźne popołudnie — pojechałem do „niebezpiecznej sąsiadki".

— Sanki sunęły bezszelestnie po śniegowym puchu; janczarki metalicznemi głosikami recytowały swój monotonny dwuwiersz — doskonałe to do moich spokojnych myśli.

— A byłem wtedy spokojny — po raz ostatni w życiu...

Wstrząsnęła mną intonacja tych słów — więcej nawet, niż ich znaczenie, więc poruszyłam się niespokojnie na fotelu.

Może dlatego profesor zamilkł i tylko słychać było rozkoszne mruczenie niebieskiej angory, zwiniętej w kłębuszek na moich kolanach.

— Gdym wszedł do jej domu — zaczął znowu — byłem światowcem, przyjeżdżającym z oficjalną wizytą; podałem bilet staremu służącemu i usiadłem w dużym salonie, przy palącym się wesoło kominku.

Smolne szczapy oświetlały migotliwie cały pokój żółto-różowem światłem, odbijającem się w politurze mahoniowych antyków i w starych lustrach weneckiej roboty.

— Jak to miło, że pan do mnie przyje-

chał — odezwał się tuż przy mnie głos kobiecy.

Słowa były zwykłe, ale głos tak niezwykły, tak bogaty w barwie, tak przedziwny — pani wie, w jakim stopniu jestem muzykalny — mam tak zwany „absolutny słuch".

Ach, niezapomniany — cudowny głos!

Odpowiedziałem czemprędzej, zadając jakieś pytanie, aby znów usłyszeć ten głos — i jeszcze i jeszcze.

Łudziłem się, że w ten sposób oswoję się z jego czarem, zapanuję nad nim i będę mógł rozmawiać swobodnie.

Mówiliśmy tak przez kilka minut, nie wiem dokładnie o czem; możliwe nawet, że mnie się to tylko zdawało? a poprostu — milczałem, zatopiony w magji jej czarownego głosu.

Dopiero gdy zamilkła, ocknąłem się i w świetle płonących głowni, zobaczyłem jej utkwione w płomieniach oczy — ogromne, zielone oczy, u których rzęsy jak skrzydła czarnego motyla — to podnosiły się — to opadały powoli.

Na białych rasowych rękach, opartych o rzeźbioną poręcz fotela — lśniły stare pierścienie.

— Kardynalnym błędem ludzkim — mówiła — jest negowanie dnia dzisiejszego: życie przeszłością lub przyszłością, tem „jutrem" nieznanem, a do tego stopnia — niepewnem, że nawet nie wiemy, czy ono przyjdzie dla nas? Lub co jeszcze tragiczniejsze: tem „wczoraj", które przecież — umarło...

A istotna wartość realna, żywa, pulsująca i uchwytna, — którą jak ptaka można zamknąć w dłoni: ten cud dnia dzisiejszego — jest przez ludzi niedbale przyjęty, niewykorzystany — w obłędnej pogoni za mytem jutra — w jałowej nostalgji za straconem — wczoraj...

Pyta pan czy zwalczyłam to w sobie?

— Tak. Co do przeszłości — zupełnie.

Przeszłość dla mnie nie egzystuje — jest próchnem, na którem nowe wartości zakwitają, nowe powstaje życie.

Z jutrem jeszcze walczę, jeszcze mnie ono trzyma w swojej władzy; ale coraz to już słabiej i mniej — dodała

— A więc — carpe diem? — zapytałem.

— Tak, ale nie w sensie użycia.

— Życia nie trzeba używać, ani — przeżywać; sądzę, że „życie trzeba żyć" — biorąc pełnemi garściami jego piękno — odrzucając zaś pseudo-wartości; ciągła selekcja wrażeń, uczuć — dążenie do absolutnego Piękna, istotnej wartości bez skazy: oto moje życiowe credo.

— Jeśli panią dobrze rozumiem, to trzeba według zdania pani, wyrobić w sobie wysoki objektywizm i z pewnego oddalenia, przeprowadzać analizę wartości życiowych — czy tak? — zapytałem.

— I tak i nie — odrzekła z uśmiechem — objektywizm jest rzeczą konieczną jeżeli chodzi o analizę, ale oddalenie od życia? nigdy. Czyż po to, aby odczuwać w pełni piękno przyrody, trzeba się od niej izolować?

Czy taki las tonący w srebrzystym szronie — bajka zimy; czy cudna poświata księżyca, nie jest tą najrealniejszą wartością, jaką nam daje życie?

Zrozumienie i wczucie się w piękno przyrody — raczej wymaga bliskiego z nią kontaktu.

Oddalić się tylko trzeba — od ludzi; pan też wydaje mi się „wielkim samotnikiem"?— cicho szepnęła, powstając

Przeszliśmy do sali jadalnej na kolację.

Estetyka panowała tam, jak zresztą w każdym szczególe urządzenia jej domu; na płaskich talerzach z zadymionego szkła z Murano leżały piękne kwiaty i owoce; w starych kryształach wino — wyglądało jak roztopiony topaz.

Piłem dużo, sądząc, że w ten sposób odzyskam jasność myśli. Myliłem się: umysł mój działał w pełni; w pełni również chłonąłem czar tej kobiety.

Mówiliśmy o wszystkiem; ona najchętniej o sztuce i psychologji — kocha się w definicjach: kilka jasnych zwartych słów — ideał formy, którą słusznie nazywał Oscar Wilde — najwyższą treścią. Rozmawiając, patrzyłem na nią z zachwytem.

Oczy jej ciągną — jak przepaść! Jest w nich wszystko: słodycz i szał — duma i rozmarzenie i coś nieznanego mi, czego nie umiem nazwać, nie rozumiem...

— Pan „uczy" się mojej twarzy, profesorze — to jest trudna książka; twarz bowiem można zamknąć jak — drzwi; natomiast ręce i plecy mają swój charakterystyczny wyraz, nie dający się ukryć; obserwował pan zapewne nieraz piękne kolekcje pleców kobiecych na balu?

— Tak — ale widziałem zawsze jeden i ten sam wyraz białych pleców kobiecych: lubieżność.

— Ach, dzieje grzechu? roześmiała się swobodnie — nie uważam, aby to było tak monotonne, ani tak proste: cała gama odcieni, albowiem nic chyba nie jest bardziej skomplikowanem, jak grzech; przez to zresztą jest antytezą cnoty, nieprawdaż?

— Nad swoją twarzą — dodała — zdaje mi się, że dosyć dobrze panuję. Niestety nad głosem — nigdy: zdradza mnie.

A z panem jest naodwrót: głos ma pan zupełnie opanowany.

— Więc z tego wynika, że twarz moja jest bez maski? — zapytałem Co pani z niej już wie?

— Za dużo, aby móc to panu powiedzieć, za mało — aby samej opuścić przyłbicę...

Znam trzy pana uśmiechy, z których tylko jeden mi się podoba: nie miał go pan wczoraj, ani nawet dzisiaj rano, gdyż urodził się on niedawno, tutaj — dla mnie... — dodała, patrząc mi w oczy.

— Czy pan wie, że ludzie widzą siebie tylko raz w życiu przez kilka pierwszych sekund poznania? potem — patrzą już tylko przez pryzmat wzajemnych do siebie uczuć, dodatnich lub — ujemnych i stosownie do tego, zmieniają się psychicznie, a nawet do pewnego stopnia — fizycznie.

W stosunkach ludzkich nie bywa objektywizmu i dlatego — jednym z jaskrawszych, zbiorowych i sankcjonowanych w bezmyślności — absurdów, jest — opinja: ten sam pan X., będzie w zetknięciu z pana indywidualnością innym człowiekiem, a w zetknięciu ze mną — innym; zdanie pana o nim musi więc być diametralnie przeciwne od mojego — i co najważniejsze, że oboje będziemy mieli rację!

Ale chodźmy do parku, noc taka piękna!

Poszliśmy. Rzeczywiście noc była cudowna: księżyc swem niesamowitem światem objął widnokrąg i roztopił poczucie rzeczywistości — w srebrzystą fantasmagorję...

— Dlaczego ludzie, — mówiła cicho — w zachwyceniu — tak łatwo oswoili się z cudem księżyca? Dla mnie jest on zawsze czemś piękniejszem na świecie! Niech pan spojrzy na tę grupę drzew nad stawem, albo ruiny starej kaplicy, ot tam — feeryczny widok...

Milczeliśmy dłuższy czas, przeżywając misterjum nocy.

Patrzyłem to na stary park, to na nią.

W świetle księżyca, oczy jej wydawały się jeszcze bardziej tajemnicze — ogromne, zielone oczy, u których rzęsy — jak skrzydła czarnego motyla — to podnosiły się, to opadały powoli...

Korzystając z zamyślenia Jerzbara, nalałam mu nową filiżankę gorącej mokki. Sięgnął po nią machinalnie i mówił dalej.

— Wie pani, pani Wando, że zgubiłem czas.

Nie żartuję — daleki jestem od tego; pytałem dzisiaj rano, czy pani jest pewna, że Nowy Rok się rozpoczął?

Bo ja nie wiem, doprawdy nie wiem... — rzekł, trąc z widocznym wysiłkiem myśli czoło.

Nie wiem — ile dni? ile nocy — byłem w tym kresowym dworze? Ile sekund, czy godzin — spędziłem u jej stóp, zasłuchany w mówione przez nią wiersze, prozę, myśli jej — jej słowa...

W naszych długich, długich rozmowach przy kominku dochodziliśmy naprawdę do dna rzeczy.

— Nous avons dit souvent d'imperissables choses —

Les soirs illuminés par l'ardeur du charbon...

— Co pani mówi? — ocknął się.

— Wiersz Baudelaire'a.

Któregoś wieczora powiedziałem jej:

— Pani jest piękna.

To jest nic.

— Pani jest Pięknem!

To — za mało...

— Pani jest moją Tęsknotą!

— Ach, nareszcie nazwał pan mnie po imieniu! — krzyknęła w uniesieniu, wyciągając do mnie obie ręce.

— Po tym jej okrzyku dopiero zrozumiałem, co się ze mną dzieje: spotkało mnie najwyższe szczęście i — największe nieszczęście jednocześnie — brzmi to paradoksalnie — ale tak jest.

Niech pani posłucha.

Nieszczęście moje polega na tem, że moja tęsknota, która obejmowała wszechświat, która mnie kazała gnać w niezliczonych podróżach z kraju do kraju, z miejsca na inne coraz to nowe miejsce, od bieguna do bieguna i dalej i znów dalej, dalej...

Tęsknota moja, szukająca coraz to doskonalszego wyrazu w sztuce, uczuciu, czynie, słowem — w życiu.

Tęsknota, która przy ciągłej ewolucji formy, nie dawała się w niej zamknąć i była wolnością, pędem w zaświaty, wirem kosmicznym, pragnieniem! Wiecznym — niedosytem!

Pałając nią, zdawało mi się, że „gdy na tęczę swe ciało rozwinę, w łukach mych ramion — przechodzą planety!" *).

Tęsknota moja była rzeczą nadludzką.

Nie, to są przeżycia z dziedziny transcendentalnej, a nawet raczej — transcendentnej.

Tego się nie da „opowiedzieć"; na to niema żadnego kryterjum ani odpowiednika w mowie ludzkiej. Nie będę więc nawet próbował.

I widzi pani — tęsknota moja skonkretyzowała się, zamknęła w tej kobiecie: jest tą kobietą i nigdy nie przestanie być tą kobietą — nie wyjdzie poza nią...

Trzymając ją w swoich objęciach tak blisko, blisko — z ustami na ustach — wtopiony w jej cudne ciało — tęskniłem jednak do niej, jak szalony!

Doszedłem do najwyższego szczebla uczucia — gdyż miłość moja nie znajduje dosytu.

Mówiąc z nią o wszystkiem, o czem warto jest w życiu mówić, dochodząc naprawdę do ideału: jasnej myśli, ujętej w doskonałość formy; a chociaż moja mentalność i przygotowanie naukowe przechodzą przeciętną miarę — nic o niej nie wiem, nic, nic, nic...

I znów jest nieuchwytną, i znów do niej tęsknię — do jej duszy, do tego atomu wypowiedzianych przez nią myśli, uczuć i do tych uczuć i myśli — których nie znam, — o których nic nie wiem, i — nigdy nic wiedzieć nie będę.

Obłęd, obłęd!

Cudowny obłęd, z którego nie chcę być uleczony, w którym płonę — płonąć muszę i spłonąć — chcę!

---

*) Krasiński.

FAUNA
NA ZNACZKACH POCZTOWYCH



Norwegja – biały niedźwiedź.



Półn. Borneo — orangutan.



Japonja —synogarlice.



Portugalja — żyrafa.



Republika Tuwa — wiewiórka.



Półn. Borneo — argus.



Półn. Borneo — jeleń.



Półn. Borneo — dzióborożec.

Leży przed nami album ze znaczkami pocztowemi. Chociaż nie wszyscy jesteśmy filatelistami i nie rozumiemy wartości, jaką niektórym zwłaszcza znaczkom przypisują zapaleni zbieracze, z zainteresowaniem jednak przerzucamy karty wypełnione barwnemi kawałkami papieru. W krótkim czasie możemy odbyć podróż po całym naszym globie, przenosząc się z państwa do państwa, nie pomijając żadnego niemal zakątka, do którego dotarł tylko człowiek.

I rzeczywiście ciekawą jest taka podróż, którą możemy odbyć wygodnie, siedząc przy biurku czy utonąwszy w głębokim fotelu. Wzrokiem przebiegamy mapki odległych i często niemal zupełnie nieznanych krajów, z zaciekawieniem oglądamy krajobrazy umieszczane nieraz na znaczkach, podziwiamy wspaniałe budowle, osady i miasta. Wizerunki władców i bohaterów narodowych pozwalają nam przypomnieć sobie zapomniane dzieje niejednego z krajów, zwłaszcza, że i ważniejsze wydarzenia historyczne upamiętnione zostały na niektórych znaczkach pocztowych.

Przyrodnika i miłośnika natury zainteresować może świat zwierząt, którego liczni przedstawiciele patrzą na nas z barwnych znaczków. Uważna obserwacja i porównywanie znaczków ze zwierzętami z rozmaitych obszarów daje nam pojęcie o najważniejszych i najciekawszych formach, zamieszkujących daną część świata. Szczególnie świat zwierząt z obszarów podzwrotnikowych żywo przemawia do naszej wyobraźni swemi ciekawemi a mało znanemi formami.

Pierwszym krajem, który na swych znaczkach pocztowych umieścił wizerunki zwierząt, była Kanada. Znaczek z r. 1851 za 3 pensy (którego obecna wartość, zwłaszcza znaczka nieużywanego, jest bardzo wysoka) przedstawiał bobra, który ówcześnie stanowił jedno z ważnych bogactw naturalnych kraju. I dzisiaj jeszcze nie brak w Kanadzie tego zwierzęcia o cennem i poszukiwanem futrze, przed ośmdziesięciu jednak laty puszcze kanadyjskie pokrywały znaczniejsze przestrzenie, a o łowcach bobrów i ich przygodach czytaliśmy nieraz barwnie pisane powieści za czasów naszej młodości.

W ślad za Kanadą poszła w trzy lata później zach. Australja, która na swych znaczkach umieściła czarnego łabędzia, znanego i z licznych późniejszych wydań. Ptak ten jest charakterystyczną formą, znaną tylko z południowej Australji i Tasmanji. Z kolei i inne państwa zaczęły naśladować te kraje i w krótkim czasie w ten sposób została stworzona prawdziwa arka Noego z licznemi gatunkami zwierząt ze wszystkich części świata.

Rzecz charakterystyczna, że ta część świata, która wydała najwięcej znaczków pocztowych, a mianowicie Europa, niewielki tylko wzięła udział w tym przeglądzie świata zwierząt. Jest to jednak zrozumiałe. W czasie, kiedy wprowadzono znaczki pocztowe nie wiele utrzymało się większych zwłaszcza zwierząt w Europie, ustępując przed szybko postępującą gospodarką człowieka. Coraz mniejszymi stawały się obszary, w których świat zwierząt, nie niepokojony przez mieszkańca sąsiadujących osiedli, mógłby się spokojnie i swobodnie rozwijać. W wielu krajach tylko w zwierzyńcach i ogrodach zoologicznych można oglądać te zwierzęta, które przed kilkuset zaledwie laty, żyły w znacznych nieraz ilościach.

Niewiele też państw europejskich posiada znaczki z wizerunkami zwierząt, niektóre zato użyły wizerunków zwierząt jako symbolu swego, umieszczając na swych znaczkach lwa, króla zwierząt, jak np. Belgja, Szwecja czy Finlandja. Podobnie niejeden z krajów europejskich posiada znaczki ze stylizowanym jedno- lub dwugłowym orłem, posiadającym charakter herbu państwowego. Sym-

bolem szybkości jest gołąb znany np. ze znaczków Czechosłowacji.

Na znaczkach Czechosłowacji i Rosji został umieszczony największy i najbardziej charakterystyczny dla obszarów podbiegunowych przedstawiciel świata zwierząt — niedźwiedź polarny. Jego krewniaka, a mianowicie niedźwiedzia brunatnego znaleźć możemy na znaczkach szwajcarskich, świat ptaków reprezentują orzeł i czapla na znaczkach austrjackich, oraz sokół szwedzki. Na jednym ze znaczków tureckich został umieszczony wilk, a na znaczkach bolszewickich ren i wielbłąd.

Znacznie bogaciej przedstawia się Azja. Niezależna republika północnej części środkowej Azji, Tuwa dała na swych znaczkach przegląd najciekawszych zwierząt północnej i środkowej Azji, a mianowicie wielbłąda, bez którego nie byłoby rzeczą możliwą pokonywać dużych pozbawionych wody przestrzeni pustynnych, wołu tybetańskiego czyli yaka, częściowo żyjącego w stanie dzikim, częściowo jednak oswojonego przez człowieka, rena, sobola, borsuka, wiewiórki i koziorożca. Znaczki chińskie charakteryzuje przeważnie fantastyczny smok, obok niego jednak widzimy maskę japońską, synogarlicę, złotą rybkę i gęsi. Na rozmaitych znaczkach indyjskich występuje największy przedstawiciel fauny, a mianowicie słoń. Tygrys (obok słonia) znany jest z licznych znaczków państw malajskich.

Niezmiernie ciekawie pod względem fauny przedstawiają się znaczki z wyspy Borneo, dające przegląd najważniejszych form archipelagu sundajskiego.

Widzimy tam wielką małpę człekokształtną orangutana, największą z małp poza afrykańskim krewniakiem — gorylem. Z dużych ssaków występują ponadto nosorożec, tapir, jeleń i dzik. Przedstawicielami świata ptaków jest dzióborożec, odznaczający się wielką naroślą na dziobie, papuga kakadu i argus o przepięknym wachlarzowym ogonie. Świat niższych zwierząt reprezentuje krokodyl. Na wyspach sundajskich istnieją jeszcze wielkie obszary niedostępnych dżungli, niektóre jednak części tego archipelagu objęte zostały gospodarką człowieka, który zmusił do ustąpienia większość zwierząt. Również i namiętność myśliwska wpłynęła niszcząco na niejedne gatunki, które w różnych miejscach zaczęły powoli należeć do rzadkości i wymierać. Obecnie rząd holenderski utworzył szereg rezerwatów, w których na pewne gatunki zanikających zwierząt nie wolno zupełnie polować lub tylko w sposób ograniczony, za specjalnem pozwoleniem.

Na różnych znaczkach państw indyjskich występuje słoń, odgrywający w południowej Azji niemałą rolę jako oswojone zwierzę używane do wielu prac.

Na znaczkach Libanu widzimy jedwabnika, a Indje Francuskie wizerunkiem węża przypomniały groźną klęskę, jaką dla Indyj stanowią jadowite węże, których ofiarą pada rokrocznie wielu tubylców.



Republika Tuwa — wielbłądy.



Australja — kangur.



Republika Tuwa — yak, wół tybetański.

Jeszcze liczniej występuje świat fauny lądu afrykańskiego. Na znaczkach z Trypolisu umieszczony został słoń, wielbłąd, lampart, orzeł, nie brak wreszcie i węża. Znaczki z włoskiego Somali powiększają ten zespół zwierząt o lwa, hipopotama, antylopę kudu i termity. Te ostatnie są rzedkim przypadkiem występowania na znaczkach pocztowych owadów; należą one do najciekawszych owadów, a wysoko zorganizowany ich sposób życia, przypominający nasze mrówki i pszczoły, był przedmiotem badań wielu przyrodników.

Za należące już do przeszłości należy uważać znaczki Abisynji. Licznie reprezentowany jest tu świat zwierząt. Obok słonia i nosorożca widzimy tu bawołu, jednego z najniebezpieczniejszych dla myśliwego zwierząt, dalej lamparta, żyrafy, strusia i antylopy. Belgijskie Kongo dało obok innych już wymienionych przedstawicieli fauny afrykańskiej, ciekawe zwierzę okapi. Jest to bardzo rzadkie zwierzę spokrewnione z żyrafą, odkryte dopiero przed kilkudziesięciu laty przez Johnstona i nazwana jego imieniem (Ocapi Johnstoni). Cieszy się ono stałą opieką kolonjalnych władz belgijskich, a surowe zakazy polowań każą spodziewać się, że zanikający ten gatunek zostanie zachowany.

Najliczniej jednak występuje świat zwierząt na znaczkach murzyńskiej republiki Liberji. Prócz dużych czworonogów — słonia, hipopotama i bawołu, na znaczkach Liberji widzimy lamparta, antylopy, orły, dzióborożce, krokodyle i innych przedstawicieli egzotycznego świata zwierząt czarnego lądu.

Na pięknie wykonanych znaczkach Niessa obok wielbłąda i żyraf, które znamy już z innych znaczków, znalazł się i koń zebra, żyjący jeszcze w niektórych obszarach Afryki w dużych stadach.

Jeżeli przypatrzymy się wizerunkom słoni na znaczkach afrykańskich i azjatyckich stwierdzić możemy różnicę, uwidaczniającą się głównie w odmiennej wielkości uszu. I rzeczywiście słoń zamieszkujący Afrykę różni się od swego azjatyckiego krewniaka wielkością uszu i innemi szczegółami budowy, a także i trudnością oswajania, podczas gdy słoń indyjski szybko daje się oswoić i nieraz odznacza się wielką łagodnością.

Jakżeż odmiennem jest królestwo zwierząt pozostałych części świata! Nowa Funlandja zapoznaje nas ze światem dalekiej północy. Obok foki, łosia i jeleni karibu na znaczkach tego kraju umieszczone zostały i ryby, stanowiące jedno z bogactw północnej Ameryki. Miłośnicy psów znajdą na jednym ze znaczków tych głowę psa rasy nowofunlandzkiej.

Krewny naszego żubra, bizon północnoamerykański, który przed stukilkudziesięciu jeszcze laty występował na znacznych obszarach w stadach liczących setki i tysiące sztuk, występuje obecnie tylko w re-

Dokończenie na str. 18-ej.



Urugway — pegaz.



Francja (Kongo) — lampart.



Kongo — słonie.

NA DOLE MGŁA — W GÓRZE SŁOŃCE!
Drapacze chmur Detroit, widziane z samolotu.





HAGA-KRYNICA

NIDERLANDZKA PARA KSIĄŻĘCA W POLSCE



Rozdzwoniły się stacje telefoniczne... Zajęczały śmigła samolotów... Aparat Morsego począł stukać nerwowo...

„Księżna Juljana z małżonkiem ks. Bernardem w Krynicy!".

„Książęca para na nartach w polskich górach!".

Jak w bajce dla grzecznych dzieci! W pięknym kraju, słynącym z tulipanów, wiatraków, czystości i wspaniałych starych uliczek, szczelnie obstawionych domkami o spiczastych dachach a niepokalanej czystości, żyła sobie księżniczka, studjując pilnie wszelkie mądrości, przygotowując się do przyszłego dźwigania pięknej korony królewskiej. — Aż pewnego razu... Dziwny to kraj, rządzony od trzech generacyj przez kobiety. Taki królewski „dom kobiet"! Zgodny, pracowity, o zaletach raczej burżuazyjnych niż monarszych, w dawnem pojęciu. Kraj to bogaty, a mimo to dwór prowadzi skromne, regularne, pracowite życie, kraj wielki, posiadający bogate kolonje, a mimo to pokojowo nastrojony. Jednostajnie tykają stare holenderskie zegary, co godzinę odzywają się liczne dzwony, „carillons" kościołów, wiatrakami porusza wiatr... — Gdzież niepokoje reszty Europy? Gdzie kryzys, gdzie wojna? Jak w krainie zaczarowanej księżniczki, niema ich tu, pozostały za górami, za lasami...

Zasadniczym tonem, panującym w tym pięknym kraju, to akordy pracy, w różnych tonacjach, różnych skalach, ale pracy spokojnej, uczciwej, celowej. Sam dom królewski dał niejako najlepszy w tym kierunku przykład. Jest to bowiem jedyny dom panujący, który wstąpił na stopnie tronu nie drogą przeistoczenia swych dzierżaw w państwo, lub dzięki podbojowi, lecz „dorobił" się korony drogą zasług uznanych przez obywateli Stanów Holenderskich. Gdy Holandja pod panowaniem Hiszpanów raz po raz powstawała, chcąc wypędzić znienawidzonych dziedziców Karola V, jednym z najbardziej patrjotycznie usposobionych panów niderlandzkich był potężny hrabia nassauski. Wilhelm, wychowanek politycznym Filipa II i równie jak on milczący, stąd przydomkiem „Milczka" nazwany. Był on drobnym suwerenem, panując równocześnie nad księstwem Orange w południowej Francji, stąd też nazwisko dynastji Orańskiej, dołączone do pierwotnego — Nassau. W r. 1567 dochodzi do otwartego buntu Holendrów przeciw Hiszpanom, a wtedy Wilhelm hrabia nassauski, staje na czele powstania, zasilając je pieniędzmi, radą i własnem poparciem. Wkrótce potem zostaje stworzony związek prowincyj niderlandzkich, a mianowicie Holandji, Zelandji, Geldern i Utrechtu, a na swego wielkorządcę (stathoudera) powołują one 1585 swego opiekuna, Wilhelma. Tak więc przodek domu królewskiego Nassau-Orange staje się założycielem późniejszych Stanów Generalnych Holandji, uznanych przez Hiszpanję w r. 1609. W r. 1674 godność namiestnika Holandji staje się dziedziczną w tym domu, a była ona dotychczas równoznaczną z godnością prezydenta republiki. I tak spotykamy w historji jeden jedyny raz, aby godność prezydenta stała się dziedziczną, gdyż poza tem jedynie w Anglji, za Cromwella spostrzec możemy podobny fenomen, który tam jednakże nie zdołał się rozwinąć. W ten więc sposób prastary niemiecki dom hrabiowski, wywodzący się od hrabiego Rutberta von Zütfen, 1059, przeszedłszy przez „fazę" republikańską i obieralną, staje się dziedzicem bogatych krain i licznych kolonij, jakie Holendrzy swoją pracą, przemyślnością i organizacją zdołali zdobyć dla macierzy. — W XIII wieku dom nassauski dzieli się na dwie linje, na starszą, pochodzącą po Walramie, hr. na Nassau, Idstein, Wiesbaden i Weilburg, zm. 1289, panującą obecnie w w. ks. Luksemburskiem i młodszą, po Ottonie, hrabi na Nassau-Siegen, Dillenburg i Beilstein, z której pochodzi obecna królowa holenderska. Wśród licznych odgałęzień tego domu spotykamy też książąt Nassau-Siegen, z których pochodził nasz książę „Dynasów", żonaty z wojewodzianką Gozdzką, znany w Polsce z swych dziwnych awantur, przygód, fantazji i animuszu. W r. 1813 ówczesny namiestnik niderlandzki Wilhelm Fryderyk przyjmuje tytuł księcia, a w r. 1815, króla. Wnuk jego król Wilhelm III jest ostatnim potomkiem męskim tej linji. Córka jego Wilhelmina zaślubia księcia Henryka meklemburskiego, który staje się księciem małżonkiem. Córką ich jest księżniczka Juljana, przyszła królowa Niderlandów, księżna Orańsko-Nassausko-Lippeńska. Dom nassauski odegrał dużą rolę jako opiekun prote-



Młoda para podczas ceremonjału ślubnego w katedrze św. Jakóba w Hadze. W drugim rzędzie od lewej: ks. Aschwin zur Lippe, brat pana młodego, królowa Wilhelmina, ks. Armgard, matka pana młodego i ks. Ernest-August Brunszwicki.



Książęca para opuszcza po dokonaniu formalności ślubu cywilnego ratusz haski.



Oto pomysłowa dekoracja jednego z domów stolicy Niderlandów tarczami herbowemi przodków państwa młodych.

stantyzmu. Dał on również Anglji jednego króla, mianowicie Wilhelma III, na którym wygasła linja pochodząca po Wilhelmie „Milczku" w r. 1695, a dziedziczny urząd wielkorządcy przeszedł na linję Nassau-Dilllenburg, z której wywodzi się obecna królowa.

Również i w rodzinie obecnego małżonka księżnej Juljany zaszły w ostatnich czasach pewne rodzinne komplikacje, spowodowane wygaśnięciem linji panującej. Książęta zur Lippe, których znanym przodkiem jest Bernard, pan na Lippe, należą do najstarszych domów panujących Niemiec, choć nie odegrali nigdy większej politycznej roli. Podzieleni po synach hr. Szymona VI na dwie linje, ks. Lippe Detmold i hrabiów Lippe-Weissenfeld, — dom ten przyjął tytuł hrabiowski w r. 1528, a wygasa w linji panującej, książęcej Lippe-Detmold, na Karolu Aleksandrze, w r. 1905. Tron przechodzi na kuzyna księcia, Leopolda IV, tytułującego się „Edler Herr" i hrabią zu Biesterfeld, hrabią na Schwalenberg i Sternberg (stąd nazwisko, które przyjęli księstwo za swoje „incognito"), dziedzicznym burgrabią utrechckim itd. Przed wojną do r. 1918 we władaniu tego domu były dwa księstwa Lippe-Detmold (linja panująca wygasła 1905), oraz Schaumburg-Lippe, których panujący wywodzą się z dwóch linji pochodzących po Szymonie VI. Część terytorjum, na którem panowali, zawdzięczali Lippowie, jak się to często zdarzało w tych czasach, bogatym małżeństwom. I tak posagiem było hrabstwo Schwalenberg, uzyskane małżeństwem hr. Szymona z Adelajdą von Schwalenberg, a również hr. Sternberg wniosła do tego domu w XV w. Anna von Schaumburg. Poślubiali oni córki znanych rodzin arystokratycznych, wstępujących na stopnie tronu. I tak pradziad księcia Bernarda, hr. Ernest żonaty był z hr. Karoliną Wartensleben, sam zaś żeni się z księżniczką Bertą heską, syn zaś jego Bernard, pruski major piechoty z Armgardą baronówną von Cramm, wdową po hrabi Oeynhausen. Małżeństwo to uważane za morganatyczne, otrzymuje tytuł hrabiów Biesterfeld, a dopiero po pewnym czasie tytuł książęcy. Matka księcia Bernarda jest bliską krewną znanego tenisisty bar. v Cramm, a córką bar. Aschwina, dziedzica dóbr Woynowo w Wielkopolsce i dziedzicznego szambelana ks. Brunszwickiego, oraz Jadwigi bar. Sierstorpff. Crammowie to prastara, XIII w. sięgająca rodzina dolno-saska, która w służbie wojskowej i cywilnej zyskała sobie rzetelne zasługi. Należeli oni do tych, którzy wiernie służyli swej ojczyźnie, nie zbierając dużych majątków, ale ceniąc nadewszystko zalety żołnierskie.

Dnia 7 stycznia 1937 roku J. Królewska Wysokość księżniczka Juljana niderlandzka została zaślubiona w katedrze św. Jakóba w Hadze księciu Bernardowi zur Lippe-Biesterfeld, a tem samem został rozwiązany problem zamążpójścia księżniczki. Jeżeli kiedy, to w tym właśnie wypadku można mówić w całej pełni o „polityce dynastycznej", gdyż jak wiadomo królewski dom nassausko-orański reprezentowany jest obecnie jedynie przez dwie kobiety, panującą królowę i jej córkę, a w linji luksemburskiej przez sześć księżniczek, tj. panującą wielką księżnę Szarlotę i jej siostry księżniczki: Hildę, Antonię i t. d. Dziwny los już od trzech pokoleń nie daje męskiego potomka temu królewskiemu domowi! Chociaż „spiritus movens" był tu, jak w każdym domu panującym „raison d'état", to jednak szczęśliwem zrządzeniem zbiegł się z wyborem osobistym i miłością, czyniącą to małżeństwo bardziej sympatycznem, niż wiele innych zawieranych u stopni tronów królewskich.

Chociaż ślub odbył się w kółku najbliższej rodziny, to jednak cała ludność żywy wzięła udział w tych uroczystościach, gdyż szczerze przywiązana jest do sympatycznej „Juljantje", z której szczęścia małżeńskiego prawdziwie się cieszy. Jak doniosły pisma, księżniczka była bardzo wzruszona i łzy kilkakrotnie ukazywały się w jej oczach. Co za sympatyczna oznaka świeżości uczuć! Mało jest wielkich tego świata, którzy tak szczerze przejmują się ceremonjałem ślubnym! Tegoż samego dnia, inna Juljana, skromniejszego pochodzenia, uboższych rodziców, ale niemniej szczęśliwa, panna van der Meer, urodzona tegoż dnia, roku i godziny co dziedziczka tronu, oddała swą rękę ukochanemu mężczyźnie. Obie Juljanny, mimo różnicy stanu, znają się i korespondowały ze sobą.

Poważna Haga zamieniła się w morze świateł. Wszędzie lampjony, świecące pomarańcze (symbol domu królewskiego Orange), monogramy, transparenty... Wszędzie radość i serdeczne echo szczęścia ks. Juljanny. Jakiś znawca historji i heraldyki udekorował swój dom szesnastoma tarczami herbowemi przodków księżnej i księcia. Widnieją tam więc lwy holenderskie, złote w niebieskiem polu, są też łby żubrze książąt meklemburskich, (ojca księżnej), są wkońcu róże Lippów i gwiazdy z ptaszkiem, a poza tem dużo lilij... Trzy lilje srebrne w czerwonem polu to herb baronów von Cramm, a nietylko matka księcia Bernarda pochodzi z tej rodziny, ale również i babka! Przypominają one lilje bourbońskie, tylko kolory są inne. Jeżeli więc księżna wnosi w to małżeństwo symbol swego domu pomarańczę (suknie pań obecnych na uroczystościach były również pomarańczowe), a książę róże i lilje, to można z tych godeł wnioskować, że małżeństwo to będzie miało w życiu więcej kwiatów i dobrych owoców, jak cierni. A nie należy zapominać, że książę Bernard jest świetnym pomologiem, skoro udało mu się zerwać królewski owoc z genealogicznego drzewa Orange-Nassau!

Jan Maleszewski.



Powyżej: „Trudna chwila" ks. Juljany jako narciarki, podczas wycieczki w Krynicy.

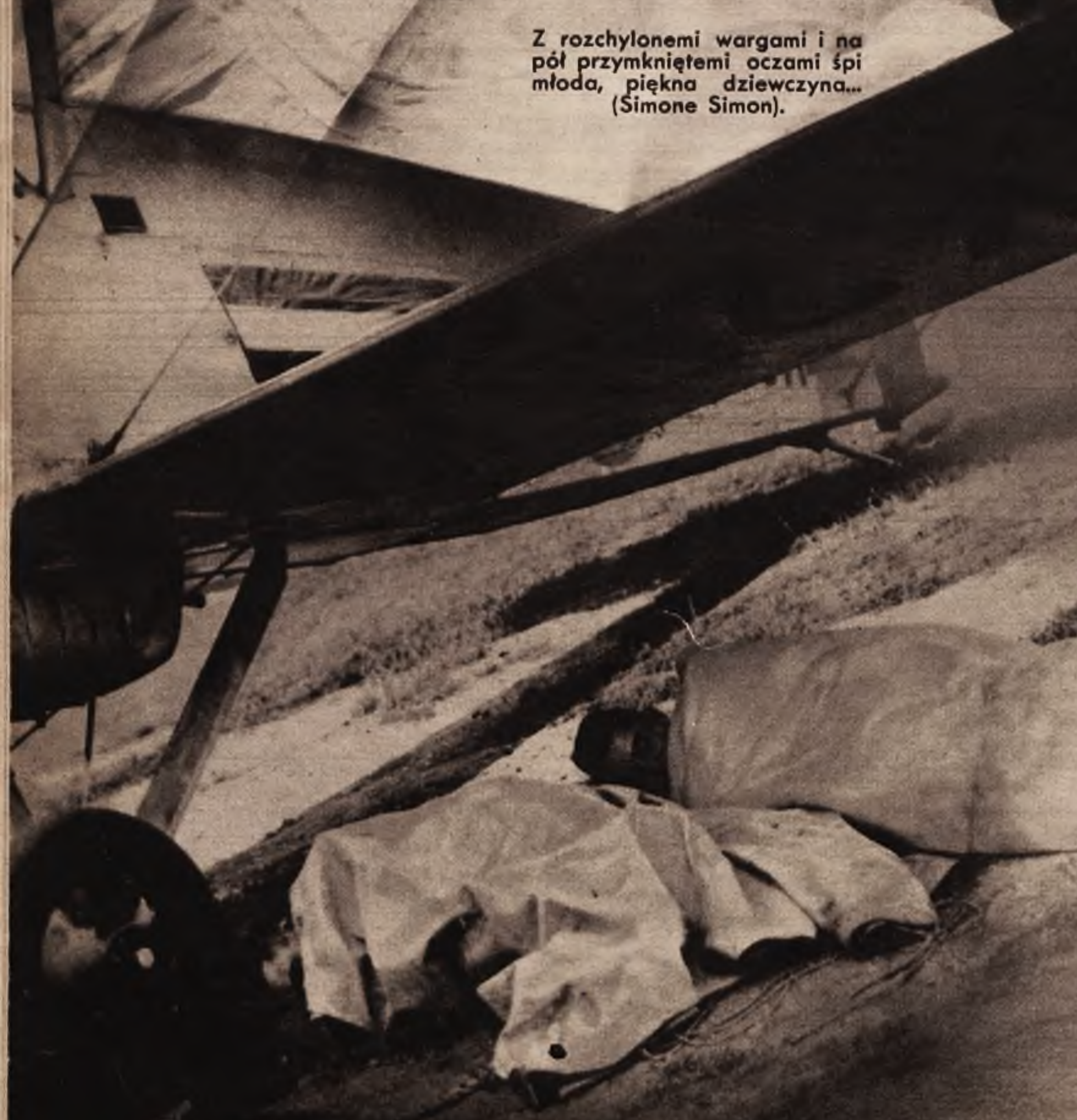


W kole: Miłe sam na sam książęcej pary na terenach narciarskich Krynicy.

Ludzie w objęciach Morfeusza



Z rozchylonemi wargami i na pół przymkniętemi oczami śpi młoda, piękna dziewczyna... (Simone Simon).



Powyżej: Lotnik w czasie wojny ... nieraz podczas snu



W kole: Zupełnie odmiennie przedstawia się sen pod narkozą...



Sen czarnego tragarza portowego, zawieszonego między niebem a ziemią



Powyżej: W oczekiwaniu na pociąg, śpi się nawet na twardej ławce w poczekalni kolejowej...

Na lewo: „Ludziom bezdomnym" służy twardy mur za oparcie w czasie snu...

Urzędnik po wesołej nocy karnawałowej usypia nawet w obliczu stosu niezałatwionych „kawał-

Sen — brat śmierci jest bardzo demokratyczny... Traktuje on z absolutnie tą samą równością zarówno miljonerów z 5-ej ulicy w Nowym Jorku, jak i biednego murzyńskiego tragarza portowego, który przeniósłszy na swych szerokich barach kilkadziesiąt worków z ryżem, zasnął na zwoju lin.

Bezpośrednia przyczyna snu, jak również fizjologiczna mechanika tego zjawiska nie są jeszcze dokładnie zbadane. Faktem jest, że wszystko co żyje — śpi, aby po zmiennych okresach letargu znów obudzić się z nową energją do życia.

Współczesna psychologja przywiązuje wielkie znaczenie do marzeń sennych. Znakomity uczony, profesor Freud oparł całą swą doktrynę naukową na analizie widziadeł sennych. Zdaniem jego w czasie snu przychodzi do głosu podświadomość człowieka — drugie nasze „ja" tajemnicze i niepoznawalne.

Lecz cóż wie o Freudzie i jego teorji ów murzyn śpiący na zaimprowizowanym hamaku z lin okrętowych? Sen bohaterów ciężko przepracowanego dnia jest głęboki, jak otchłań czarna — bez snów i widziadeł. Mięśnie rozprężone w bezwładzie rege-

Jakże inaczej śni na miękkiej wytwornej pościeli piękna dama. W sypialni unosi się woń perfum, pudru, nocnych kremów, kwiatów stojących na nocnym stoliczku i... ostatniego papierosa wypalonego „do poduszki". Sen pięknej pani pełen jest obrazów — usta śpiącej formują się w uśmiech — wypielęgnowana dłoń spoczywająca na jedwabiach porusza się lekko. To nie sen-przepaść — to nie sen-czeluść ciemna i czarna portowego robotnika...

Nerwowo, płochliwie śpi dyżurny pogotowia, który wie doskonale, że za chwilę, może za kwadrans, a może już za minutę zadzwoni telefon. Podobnie na jedno ucho śpią strażacy pełniący nocną służbę. Noc dużego miasta nie bywa nigdy spokojną. Kilka razy odzywają się dzwonki alarmowe... Trzeba jechać, nieść pomoc tym, którym sen spłoszył zły los — pożar czy wypadek nieszczęśliwy.

Nie można wprawdzie powiedzieć: powiedz mi jak śpisz, a powiem ci kim jesteś — można natomiast sformułować to inaczej: „powiedz mi... gdzie śpisz, a powiem ci kim jesteś". Popatrzcie na fotografje obok — czyż sen nie określa tych ludzi?

Dokończenie ze str. 12

zerwatach i parkach narodowych, a niewiele brakowało, by poniósł los tura i innych wytępionych zupełnie przez człowieka zwierząt. Stany Zjedn. umieściły to zwierzę na swych znaczkach, z których jeden przedstawia fragment polowania z ub. stulecia.

Na znaczkach z wysp Falklandzkich widzimy owce, pingwiny i wieloryby, francuska Gujana przedstawiła nam ciekawą formę zwierzęcą — wielkiego mrówkojada. Wyspy Galapagos należące do Ekwadoru cechuje odrębny świat zwierząt, który już przed stu laty zadziwiał Darwina. M. in. charakteryzują go liczne gatunki olbrzymich żółwi i wielkie jaszczurki, zwane legwanami. Obie te grupy zwierząt znajdują się na znaczkach republiki ekwadorskiej. Żółwie spotyka się także na znaczkach z wysp Kaimanów. Lamy, typowe dla Południowej Ameryki znalazły się na znaczkach Peru, a piękny ptak kwezal zdobi znaczki Gwatemali, podobnie jak flamingi — znaczki wysp Bahama.

Odrębny zupełnie świat stanowi Australja ze swym kangurem i czarnym łabędziem, i wyspy sąsiednie. Licznie reprezentowane tu są ptaki, a więc: rajskie z Nowej Gwinei, nielot kiwi, wspaniały lirogon i wytępiony już w znacznej mierze przez człowieka kazuar emu. — Większych saków tu brak, bo rzeczywiście w Australji występują wogóle ssaki bardzo nielicznie, a największym jest kangur, nieznany w innych częściach świata.

Pobieżny ten przegląd świata zwierząt ze znaczków pocztowych nie może nam zastąpić dokładnego podręcznika zoologji i geografji zwierząt, daje nam jednak pojęcie o najciekawszych gatunkach żyjących na różnych obszarach i o bogactwie form zwierzęcych.

Dr M. K.

CIEKAWE WIADOMOŚCI

NAJWYŻSZA MODELKA WYSTĄPI NA SCENIE.

Słyszeliśmy nieraz o najrozmaitszych, mniej lub więcej głupich konkursach, urządzanych w U. S. A. Raz było to mistrzostwo w szybkości dojenia krowy — drugi raz chodziło o rekord w spożyciu jak największej ilości jaj — innym znów razem emocjonowano się walką o palmę pierwszeństwa w szybkości froterowania posadzki, przewlekania nitki przez igłę itd. itd. Dziś przychodzi nam zanotować wynik konkursu na najwyższą modelkę Stanów Zjednoczonych, którą została wybrana Francuska Joanne Saffelle, odznaczająca się imponującym wzrostem 1.90 m. Ten „niebywały" sukces wykorzystał naturalnie jakiś sprytny manager, który przywiózł melle Saffelle z kilkoma jej koleżankami do Londynu, gdzie dziewczęta mają wkrótce wystąpić na deskach jednej z tamtejszych rewij. Na zdjęciu: „Rekordowy" manekin, Joanne Saffelle i jej koleżanki w czasie próby w londyńskim music-hallu. Fot. Associated Press.



»GOLDEN EAGLE«



Zewnętrzny wygląd pojazdów mechanicznych coraz bardziej upodabnia się do formy, którą nadał swemu sterowcowi doskonały konstruktor balonów hr. Zeppelin. Stosunkowo najprędzej uległy ewolucji karoserje samochodów, które dziś nawet w produkcji seryjnej posiadają t. zw. linje opływowe, miłe i estetyczne dla oka, a w praktyce niezwykle podnoszące sprawność wozu. Najwięcej kłopotu mieli konstruktorzy z przeistoczeniem surowych kształtów parowej lokomotywy, która najprędzej w Ameryce przeobraziła się w latające na szynach cygaro. Na zdjęciu, zamieszczonem powyżej, widzimy lokomotywę angielską „Golden Eagle" (Złoty Orzeł), którą konstruktorzy wyposażyli w linje opływowe. Fot. Wide World — Londyn.

LUSTRO, KTÓRE NIE KŁAMIE...



Lustro — ten niezbędny rekwizyt cywilizacji — przechodziło różne fazy ewolucji. Pierwszą jego formę stworzyła natura w postaci tafli wody, w której już praczłowiek robił przegląd swej rannej toalety. Potem przyszła kolej na polerowane metale, używane jako lustra przez starożytnych. Aż wreszcie zastosowano taflę szklaną, którą powleczono amalgamatem rtęci. W tej formie lustro przetrwało do naszych czasów. Te wszystkie jednak lustra — nawet z doby obecnej — nie dawały wiernego odbicia obrazu. Dopiero ostatni wynalazek dr Hirama Edwardsa, profesora fizyki na uniwersytecie w Kaliforniji, doprowadził do wyprodukowania szkła, które podobno umożliwia zupełnie dokładne oddanie obrazu (na zdjęciu). Fot. Associated Press.

NA KARTACH ALBUMU



Ziemia poleska, choć biedna, nie poskąpiła Polsce wielkich ludzi. W przeciągu ostatnich kilku stuleci urodzili się tam: Naruszewicz, Kościuszko, Ks. Drucki-Lubecki, Traugutt, Orda, Skirmuntowie, Rodziewiczówna i wielu innych, którzy w historji odegrali niepoślednią rolę. Postać jednego z wymienionych — Napoleona Ordy — zapadła prawie zupełnie w mroki zapomnienia. Tylko wówczas, gdy ktoś reprodukuje jego rysunki, w kąciku drobnym drukiem umieszcza nazwisko artysty. A warto przypomnieć sobie i o innych jego wielkich zasługach.

Napoleon Ostoja-Orda urodził się w r. 1807 w dziedzicznych Worocewiczach w ówczesnym powiecie kobryńskim, gubernji grodzieńskiej, jako syn Michała, marszałka Kobryńskiego i Józefy z Butrymowiczów. Po mieczu należał do jednej z najbardziej czołowych i licznie i szeroko rozsiadłej rodziny — po matce, córce Mateusza sędziego i posła pińskiego na Sejm czteroletni odziedziczył wielkie społeczne tradycje. W roku bowiem 1784, gdy Stanisław August wybrał się celem zwiedzenia Polesia do Pińska, zaszczycił także swą obecnością dwór sędziego w Krystynowie, podkreślając w ten sposób jego zasługi poniesione wespół z hetmanem X. Ogińskim wokół prac nad procesem kanalizacyjnym tej najbardziej błotnistej dzielnicy Królestwa.

Najmłodsze swe lata spędziwszy w rodzinnym domu, zapisał się następnie młody Napoleon do szkół w Świsłoczy. W r. 1823 ukończył je i przeniósł się na uniwersytet wileński, gdzie wstąpił na wydział matematyczno fizyczny może najmniej dla jego artystycznej natury odpowiedni. Był też w Wilnie rok tylko, a studja ukończył prywatnie.

Bawiąc znów jako dorosły w Worocewiczach nie używał życia według recepty prawie całej ówczesnej zamożnej „złotej młodzieży", trawiącej czas na polowaniu, amorach i grze w karty, ale jego szeroka wyobraźnia i wrodzony talent muzyczny pociągały go raczej ku samotności, ku zagłębianiu się w literaturze i oddawaniu się muzyce całą duszą. Dlatego ogół uważał go za dziwaka i mola książkowego.



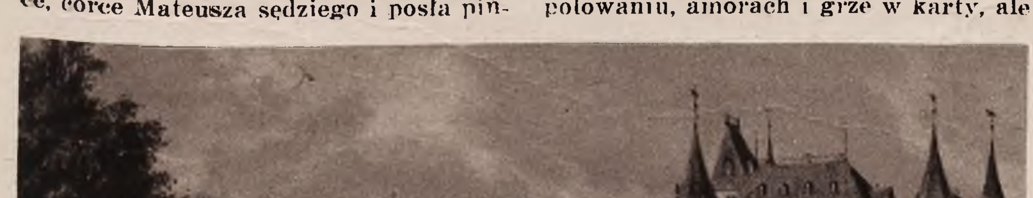


Zamek w Dębnie (Małopolska), pierwotnie własność Tarłów, obecnie Jastrzębskich.

Gdy w kraju wybuchło powstanie, Orda czując się w pełni spadkobiercą wielkich idei swego rodu, zaciągnął się ochoczo w szeregi walczących za wolność i honor ojczyzny. Rzecz jasna, że po stłumieniu powstania, w którem brał czynny i wybitny udział, musiał uchodzić za granicę.

Następuje dla Ordy okres długiej, często pieszej błąkaniny po Europie. Zwiedził w ten sposób Włochy, Szwajcarję, Francję i na dłużej osiadł w Paryżu, centrum ówczesnej emigracji i niepodległej myśli polskiej. Tam poznał znakomitego rodaka Fryderyka Chopina, a znajomość ich przemieniła się wkrótce w serdeczną przyjaźń! Chopin, poznawszy się na wielkim, szczerym talencie Ordy, radzi mu pogłębić go i doskonalić. Gdy ten kompozytora usłuchał, stał się sławnym i rozrywanym nauczycielem muzyki. Dochody z lekcyj zapewniły mu zaś przyzwoite utrzymanie. Ufając w wielkie zdolności młodego Polaka, Towarzystwo akcjonarjuszów zaproponowało mu nawet w r. 1847 objęcie stanowiska dyrektora opery włoskiej. Niestety, rewolucja, która w następnym roku wybuchła, nie pozwoliła mu na zrealizowanie powyższych planów.

W Paryżu, gdzie Napoleon Orda spędził dwadzieścia parę lat, obok osobistości z świata muzycznego poznał także przedstawicieli innych gałęzi sztuki, między innymi sławnego podówczas pejzażystę Girarda. Mając już w młodych latach zamiłowanie do rysunków, ale nie posiadając nikogo, kto odpowiednio pokierowałby jego pierwszymi krokami, uważał rysunek za miłe zabicie czasu. Dopiero dyskusje stoczone w pracowni francuskiego malarza, jego wskazówki i zachęta stały się bodźcem do pogłębienia jeszcze jednej zdolności. Zaczął od przenoszenia na papier widoków z okolic Paryża, gdzie często wybierał się z Girardem, skończył zaś na wycieczkach po Belgji. Ho-



Jeden z najwspanialszych zamków polskich znajduje się w Gołuchowie (Wlkp.). Własność XX. Czartoryskich.



Ruiny zamku w Mirze (Mińszczyzna), gnieździe ks. Mirskich, później własności Radziwiłłów.

landji, Anglji, Portugalji, wybrał się nawet do Algieru. Stąd też powstała mylna wiadomość, rozpowszechniana przez Liszta, który wyrażał się o Ordzie jako o młodzieńcu wielkich nadziei, który młodo zginął w Algierze.

Najbogatszym i najbardziej dla Polski wartościowym jest zbiór widoków z całych wielkich kresów wschodnich, a nawet innych części kraju, które to obrazy powstały po powrocie Ordy do rodzinnych stron.

W ciągu trzech lat przemierzał były powstaniec litewskie i „ukrainne" obszary ziemi wszerz i wzdłuż, prawie codziennie zmieniając miejsca pobytu, wszędzie gościnnie podejmowany — i w ten sposób zebrał prawie pół tysiąca najróżnorodniejszych rysunków. Treść ich, to stare grody, zamki, świątynie, pomniki chwały, lub mogiły — stojące na straży nieśmiertelności. Najwięcej wśród nich rezydencyj szlacheckich, które zawsze prawie rozłożone były niezwykle malowniczo i posiadały swój odrębny styl, nawet obecnie, po tylu dziejowych burzach zachwycające tak doskonałego artystę, jakim jest profesor Jan Bułhak. Ciekawym byłoby porównanie tych samych objektów z przed kilkudziesięciu lat, a ich obecnym wyglądem, ujętym w ramy fotografji prof. Jana Bułhaka.

Z wielkim mozołem i poświęceniem zebrane rysunki ułożył Napoleon Orda w dwie serje albumu swego układu i wydał je u Fajansa w Warszawie. Były to widoki z gubernij grodzieńskiej, wileńskiej, mińskiej, kowieńskiej, wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej. —



Siesiki (Kowieńszczyzna), ostatnio własność Dowgiałłów.

Pierwsza serja zawierała widoki miast: Kijowa ze Złotą Bramą, Wilna, Grodna, Ostroga, Krzemieńca, Zasławia, Żwańca, Cecory... Druga zaś przedstawiała siedziby magnackie lub szlacheckie między którymi wyróżniały się stare gniazdo Sanguszków — Sławuta i Antoniny tychże, Hieronimów Olizarów, Aleksandria Branickich, Krzywiec Podhorskich, Mereczowszczyzna z okazałym w stylu pseudoklasycznym wybudowanym pałacem Pusłowskich, Jaszuny, gdzie umarł Jan Śniadecki, Dąbrowica Platerów i cały szereg innych. Wszystkie zaopatrzył w nazwę miejscowości, skąd pochodziły i w treściwy dopisek w języku polskim i francuskim. Albumy te są dla historji polskiej kultury istną skarbnicą.

Ale nie tylko ze swych rysunków znany był Orda. Ożeniony z Francuzką nie mógł domu swego uczynić czysto polskim. Lecz nie chciał także, aby syn jego czuł się już Francuzem i dlatego, gdy ten dorósł do lat szkolnych, sam ułożył pierwszą wogóle w historji polskiej literatury tego rodzaju gramatykę polską we francuskim języku. Po raz pierwszy wydał ją w Paryżu w r. 1856, a w 1874 uzyskała ona nakład warszawski przez firmę Gebethnera i Wolffa.

Podsumowując cały dorobek artystyczny Ordy, należy wspomnieć także i o jego kilkunastu muzycznych kompozycjach, które swego czasu cieszyły się dość znacznem powodzeniem.

Jeżeli spojrzymy na całokształt pracy Ordy, trzeba przyznać, że jest ona znaczna, a tylko rozczłonkowanie jego wielkiego talentu nie pozwoliło mu stworzyć czegoś epokowego. Mimo to, jak człowiek, który w kilku dziedzinach przyczynił się do rozwoju kultury i sztuki rodzimej — zasługuje na pamięć u potomnych.

Tymczasem... Tymczasem poszedł zupełnie w zapomnienie. Dwór, w którym urodził się i mieszkał, w którym uczył się wydobywać z instrumentu melodję i kreślić na papierze pejzaże — już nie istnieje. Ziemię rozparcelowano, po domu zostały jeno ślady w postaci kilku starych drzew ogrodowych i krzewów.

Umarł w r. 1883 i spoczywa obok swej matki na cmentarzu katolickim w Janowie k. Pińska pod skromną kamienną płytą, rzuconą na bure piaski Polesia. Zapomniany czciciel piękna rodzimej ziemi, jej obrońca... A jednak mógłby powiedzieć o sobie „non omnis moriar"! **Ksawery Niedobitowski.**



Pałac w Żemłosławiu (Wileńszczyzna), darowanym przez margrabinę Umiastowską Uniwersytetowi Wileńskiemu.



PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA"

Miłość przychodzi nieznana...

Walc angielski

Słowa:
TADEUSZ SZAJEWSKI

Muzyka:
JAN MARKOWSKI





JOANNA



MARJA KASTERSKA

NOWELA

CIĄG DALSZY Z NUMERU 2-GO

Rzeczywiście wyglądała zdrowiej i lepiej. Ale to „ciągłe czytanie" niepokoiło mnie trochę. Po naradzie z panią L., również zadowoloną z Joanny, postanowionem zostało, że postaramy się skompletować trochę jej prymitywne zresztą i chaotyczne wykształcenie, a potem albo nauczyć ją pisania na maszynie i — o ile się da — nieco stenografji, albo też pomóc jej skończyć szkołę gospodarstwa, aby mogła być potem wykwalifikowaną gospodynią. Pani L. miała rozległe znajomości w różnych sferach i mogła umieścić Joannę bezpłatnie, czy to w szkole daktylografek, czy też w szkole gospodarstwa domowego. Do tego wszystkiego jednak potrzebna była trochę lepsza znajomość gramatyki i ortografji. Tu wszakże rzeczy szły opornie. Joanna miła i usłużna, łagodna, nie miała najmniejszej ochoty do systematycznej nauki. Nawet książki, które czytała, zaczynała zawsze od końca, czytając potem początek, a wreszcie środek. Prawda, że podobne rzeczy zdarzają się każdemu z nas, gdy ma lat 10 lub 12, lecz Joanna miała 20. Do tego pani L. przeciążona zarobkową pracą dziennikarską i literacką oraz zajęciami w Czerwonym Krzyżu, a ja lekcjami łaciny na paru lekcjach, studjami własnemi w Sorbonie i nocnemi dyżurami w szpitalu wojskowym Czerwonego Krzyża; obie nie miałyśmy czasu, aby zmusić Joannę do systematycznej nauki. Na pomoc znalazłaby się jaka wolna godzina, ale na ciągłą współpracę brakło możności. Joanna miała przytem nieraz dość zabawne poglądy na kwestje naukowe. Raz np. zachciało jej się uczyć chemji, dzięki czemu biedna pani L. musiała przez kilka dni spożywać zupy kartoflane i grochowe, to zbyt gęste, to zbyt rzadkie, gdyż Joanna chciała sprawdzić naocznie, jaka jest mączystość tych jarzyn. Na szczęście pani L. pisała wtedy właśnie jakąś powieść i zajęta nią, nie bardzo zważała na swoje m e n u.

Tymczasem minęła zima i zazieleniły się drzewa w Luksemburgskim ogrodzie pierwszą wiosenną zielenią, tak lekką, delikatną i przejrzystą, jakby ktoś owiał i otulił cały ogród w wiotkie gazy jedwabne. No klombach ogrodu kwitły wesoło różnobarwne sztywne kiście hiacyntów, rozlewając mocną, słodką woń. Mimo wojny ukazywały się na ulicach pierwsze wiosenne kapelusze i kostjumy, ale też częściej niż dawniej spotykało się postacie kobiece pochylone boleśnie, lub jakoś nienaturalnie wyprostowane siłą woli pod długiemi welonami żałoby. Niby czarne cienie na tle młodej wiosny.

Miało się ku wieczorowi. Na wózkach popychanych po ulicach przez wędrowne kwiaciarki pachniały pierwsze liljowe i białe pęki bzów, tych bzów wiosennych paryskich, co tak prędko więdną w pokoju. Kupiłam jedną wiąź i weszłam do ciemnej sieni mego hoteliku. Zobaczyła mnie już przez okno madame Besançon i zawołała:

— Bonjour, mademoiselle. Czy nie wie pani przypadkiem, o której godzinie wraca do domu Joanna Daussay?

— Myślę, że po dziesiątej — odpowiedziałam. — Ale na co to pani potrzebne?

— Bo tu właśnie jest „urlopnik" (pemissionnaire), mąż jej siostry, August Becker, przejazdem w Paryżu, i chciałby się z nią zobaczyć, a jutro wyjeżdża. My mu chętnie damy pokój na jedną noc, bo to przecież żołnierz (poilu), ale onby chciał pogadać z Joanną Daussay.

Ogromna, barczysta postać zasłoniła nagle całe drzwi blado-niebieskim mundurem. Nad tą postacią duża głowa zgruba ociosana, twarda, chłopska typowa głowa, ale z tak poczciwemi spłowiałemi błękitnemi oczami pod jasnemi gęstemi brwiami, że odrazu czuło się zaufanie do tego olbrzyma. Wyciągnął do mnie potężną łapę i przedstawił się bez żadnych ceremonji:

— August Becker jestem z 63-go pułku piechoty. Pani Besançon powiedziała mi, że pani przyjaźni się z naszą Joanną i nawet wyszukała jej teraz miejsce. Bardzo pani za to jestem wdzięczny, bo moja żona i teściowa są w „kraju zajętym" i nic o nich nie wiem, ani o moich dzieciakach. Cała moja rodzina teraz, to mój brat, co jest w wojsku i Joanna. Ale ja ją mało znam, bo gdym się ożenił z jej siostrą, już była na służbie.

Na służbie!... Biedna Joanna! Jak ona się bała tego wyrazu. Spojrzałam na zegar ukradkiem. Była zaledwie siódma. Pomyślałam sobie, że August Becker musi być głodny, a zapewne ma dość ubogą sakiewkę. Ale co tu dać do zjedzenia takiemu olbrzymowi? Dla moich zaś szczupłych, ah, jak szczupłych funduszy niepodobieństwem było zaprosić go do restauracyj na obiad. A jednak był to żołnierz na urlopie... I przytem polski atawizm gościnności, choć przytłumiony trochę biedą, też wołał o swoje prawa.

— Możeby pan — zaczęłam wahająco — zaszedł do mnie na górę... i dokończyłam z desperacką decyzją: napić się herbaty i coś zjeść.

— Herbaty? — spytał poczciwy wielkolud, nie zdradzając zbytniego entuzjazmu dla tego napoju.

Straciłam resztę odwagi. Ale trudno: trzeba brnąć dalej.

— No to może kawy z mlekiem — zaproponowałam uprzejmie.

Wdała się w to jednak zażywna pani Besançon, która tak lubiła ploteczki, jak ów magnat polski, Jan Golski, z XVII-go wieku, co kazał łapać wszystkich przejeżdżających na trakcie, aby mu opowiadali nowiny z szerokiego świata. Augusta Beckera nie trzeba było łapać, bo sam przywędrował do jej hoteliku, a przytem madame Besançon była w gruncie rzeczy niezłą kobieciną.

— Już on zje z nami talerz zupy i kawałek mięsa, a potem przyślę go pani — zadecydowała stanowczo. — Da mu pani deser i filiżankę kawy. Tak będzie najlepiej.

Pobiegłam zamiast na górę do niedrogiej, czystej cukierenki i nakupiłam ciastek. Kawę miałam zawsze w domu i niezłą. Poczem pośpiesznie spożyłam arcyskromną kolację i czekałam na wielkoluda. Około dziewiątej zatrzeszczały biedne krzywe schody, aż się zlękłam, że się zawalą, jękła ceglana podłoga w korytarzu i zapukano do drzwi dość delikatnie. August Becker wszedł i zaraz na wstępie poprosił o pozwolenie zapalenia małej fajeczki. Zrobił to grzecznie i poprawnie, ale jednocześnie z całą pewnością, że chodzi o rzecz zwykłą, naturalną, i że zupełnie niepotrzebnie pyta o pozwolenie. Wieczór był ciepły, otworzyłam okno, i ostatecznie fajka nie przeszkadzała mi tak bardzo, choć pachniała nieszczególnie.

August Becker zapalił więc fajkę, przyjął kawę i ciastko, poczem bez ceremonji zapytał mnie, czy znam ministra robót publicznych? Nie! skądżeby? nigdy go nie widziałam. To źle. On musi pójść do niego. Chce mu powiedzieć, że jeżeli będą dawać urlopy na żniwa, to trzebaby wybierać ludzi, co już pracowali na roli. Tacy i lepiej zrobią i mniej czasu zmitrężą. A na froncie niema przecie nigdy za dużo ludzi.

— I pan myśli, że pana tak wpuszczą bez niczego, poprostu, do ministra? — spytałam zdumiona i ubawiona tą naiwnością.

— A dlaczego nie? Przecież jesteśmy wszyscy „citoyens" (obywatelami) republiki.

— Z tą różnicą, panie Becker, że Ludwik XIV, najdespotyczniejszy z królów francuskich, przyjmował sam supliki od wszystkich, idąc piechotą z Luwru do kościoła Saint-Germain-Auxerrois, ale gdy jakiś nieborak chciał za naszych czasów oddać taką suplikę prezydentowi Republiki...

— To się prezydent ucieszył z takiego dowodu zaufania.

— Broń Boże! Nawet prawdopodobnie nie dowiedział się, o co chodzi, bo nieboraka złapali i zamknęli do infirmerji pałacu Luksemburskiego, jako warjata.

August Becker westchnął.

— Po wojnie będzie wszystko dobrze — rzekł pocieszająco. — Bylebym tylko odnalazł żonę i moje dzieciaki, byle mi je Bóg zachował.

Wydostał z wytartego skórzanego pugilaresu trochę zblakłą fotografję młodej kobiety, nieco podobnej do Joanny, ale znacznie urodziwszej. Dwoje tłustych zdrowych dzieci czepiało się jej sukni. Fotografja była nieszczególna, matka i malcy trzymali się

tak sztywnie, jakby każde z nich połknęło przynajmniej ze dwa kije, ale było coś jasnego i dobrego we wzroku kobiety w wyrazie jej oczu zwróconych ku malcom. I taki sam dobry, jasny wyraz, trochę zasnuty smutkiem i rozrzewnieniem rozświecał i upiększał prawie poczciwą twarz Beckera, gdy patrzył na swoją małą rodzinę, tak daleką teraz od niego.

Rozległy się szybkie kroki w korytarzu. Joanna zapukała, wbiegając jednocześnie do pokoju. August Becker wstał, odłożył na bok fajkę i uściskał serdecznie, po bratersku, siostrę swej żony. Zaczęła mu opowiadać nieco bezładnie o swoich egzaminach z buchalterji, o pracy, o kłopotach paryskich, o nowem swem „zajęciu". Słuchał uważnie, paląc fajkę, poczem zakonkludował poważnie:

— Widzę, że sobie dajesz jakoś radę, że cię lubią i szanują. To i dobrze, a do reszty nagadamy się jutro, bo ja teraz muszę iść na dół. Pan Besançon czeka na mnie do 11-tej, aby mnie zaprowadzić do wolnego pokoju, a i spać mi się już chce porządnie.

Pożegnał się i poszedł. Joanna została ze mną, trochę zdziwiona, trochę rozczarowana:

— Nie myślałam, że August Becker taki prostak — wyznała naiwnie. Przecież bardzo dobrze żyli z moją siostrą, a moja siostra zupełnie inna.

— — — — — — — — — — —

Jakoś na początku lata dostałam „petit bleu" (rodzaj listu-telegramu paryskiego) od przemiłej starszej literatki, u której pracowała Joanna. Prosiła, abym koniecznie przyszła tego samego dnia na obiad. O wpół do ósmej wieczorem dzwoniłam zatem do drzwi mieszkania pani L., trzymając w ręku duży pęk drobnych różyczek „pompon", gdyż powieściopisarka namiętnie lubiła kwiaty. Otwarła mi Joanna, witając mnie serdecznie, ale jakby z lekkiem zakłopotaniem. Nie zwróciłam na to uwagi i poszłam zkolei przywitać się z panią domu. Była to kobieta niezwykle piękna, pięknością markizy z XVIII-go wieku. Wczesna bardzo siwizna zmieniła krucze wijące się naturalnie włosy w srebrne loki, które okalały twarz młodą o pięknej puszystej morelowej cerze brunetki i podkreślały lśniącą czarność gęstych iście sobolich brwi i czarnych głębokich oczu. Wdowa po ambasadorze, pani L. żyła długo w kosmopolitycznym świecie dyplomatycznym, o wiele więcej dobieranym przed wojną, niż po wojnie. Świat literacki Paryża, w którym obracała się od dłuższego czasu, wojna i praca w Czerwonem Krzyżu rozszerzyły jeszcze bardziej jej widnokrąg i dały jej poznać inne kasty społeczeństwa. Bardzo inteligentna, wykształcona, subtelna, miała jednak nietylko ów czar kobiet „wczorajszych", tak rzadki dziś u młodszego pokolenia, ale i ich zwyczaj szukania wszędzie i we wszystkiem struny sercowej. Nie znając mickiewiczowskiej zasady „miej serce i patrzaj w serce", stosowała ją na każdym kroku. A oprócz tego miała, jak większość literatek jej doby, umysł romantyczny i w myśl starego łacińskiego przysłowia „vita casta, imaginatio lasciva, vita lasciva, imaginatio casta" — życie czyste, imaginacja erotyczna; życie erotyczne, imaginacja czysta. — Jej życie było wprawdzie pełne przygód, ale czyste jak łza, więc ogromnie lubiła romansowe historje.

Po obiedzie, podczas którego mówiło się o nowinach z frontu, o szpitalach i najnowszych książkach, Joanna pożegnała nas i poszła do domu. Zostałam sama z panią L. w jej zacisznym gabinecie, pełnym różnych ciekawych przedmiotów, pochodzących z wszystkich pięciu części świata. Obok kryształów weneckich, wyroby indyjskie, figurki chińskie ze słoniowej kości precyzyjnie wyrabiane, hafty arabskie i tureckie i mnóstwo innych pamiątek z wędrówek pani domu po całej kuli ziemskiej.

Zarówno pani L., jak ja, należeliśmy do kategoryj osób, lubiących przystępować do rzeczy bez długich wstępów, więc w parę minut po wyjściu Joanny spytałam poprostu:

— Właściwie nie wiem jeszcze, czy miała pani dziś coś specjalnego do powiedzenia mi?

Powieściopisarka skinęła głową twierdząco.

— Po to cię wezwałam, moje dziecko. Zdaje mi się, że chodzi o rzecz ważną. Musimy o tem radzić serjo. Obawiam się, że Joanna jest brzemienna.

Gdyby piorun upadł u moich nóg w ten pogodny wieczór letni na froterowaną posadzkę, nie byłabym bardziej zdumiona. Nie z powodu nazwania ostro rzeczy po imieniu. Wojna wyrugowała zbytnią pruderję nawet ze sfer burżuazyjnych francuskich, a w kołach literackich zaczęła się ta kampanja dawno przed wojną. Mimo że byłam bardzo młodą dziewczyną, nie dziwiło mnie, ani przestraszyło naturalne traktowanie tego „o czem się nie mówiło" za czasów Zapolskiej np. Ale skąd u licha, coś podobnego mogło się zdarzyć Joannie, która nie miała żadnych romansów, żyła samotnie, niejako na oczach moich i całego hoteliku, pełnego starych jejmości i kobiet-subjektów z różnych magazynów — od czasu wojny studencka klientela znikła — i wogóle nie znała nikogo w Paryżu? Niemożliwe! Pani L. musiała się mylić.

— Niepodobna — zawołałam, Joanna nie ma żadnego przyjaciela. Przecież nie mogło to przyjść cudem!

— Niestety — odpowiedziała mi literatka — znajdujemy się tu wobec dramatu psychologicznego i rodzinnego nader skomplikowanego. Mimo naszej przyjaźni, mimo chwilowo zabezpieczonego bytu, Joanna jest sama na świecie oderwana od swoich. W takich warunkach spotkanie się z bliskim człowiekiem ze swoich stron może łatwo stać się fatalnem...

— Ależ, przez litość, gdzie? z jakim człowiekiem?

— Naturalnie z Augustem Becker, jej własnym szwagrem.

Omal nie parsknęłam śmiechem. Co? August Becker i fatalne komplikacje. I przecież Joanna patrzyła na niego, jak na gbura...

Spróbowałam wytłumaczyć to pani L., dodając:

— A wreszcie oni się prawie nie widzieli. Godzina, czy dwie, zanim Joanna nie wyszła z domu rano do pani.

— To nie ma żadnego znaczenia — odparła powieściopisarka. Na wschodzie mówią, że w podobnych wypadkach wystarczy, gdy kobieta pozostanie sama z mężczyzną tyle czasu, ile potrzeba na ugotowanie jajka na miękko. I przeciwnie, ludzie mogą siedzieć razem dniami i nocami bez żadnej chęci do romansu, czy wrażeń erotycznych. Co do Joanny, jej sytuacja jest dość wyjątkowa. A August Becker wracał z frontu, też oderwany od rodziny i od normalnego życia. I czyż nie widzisz, że Joanna chodzi smutna i zakłopotana już od pewnego czasu?

Tu znana literatka zbudowała naprędce całą historję romansu, godną zasad podświadomych pokus Freud'a, z takim zapałem, że choć mi się to wydawało zrazu nieprawdopodobne, uczułam wkońcu w głowie taki zamęt i chaos, że sama wreszcie nie wiedziałam, co mam o tem myśleć.

A pani L. kończyła swe wywody następującą konkluzją:

— Nikt nie ma prawa rzucać kamieniem w bliźniego, któremu powinęła się noga. Musimy pomóc Joannie i ratować ją i biedne niewinne dziecko. Ale dlatego trzeba wiedzieć wszystko i zawczasu pomyśleć o wszystkiem. Więc, moje dziecko, tyś młodsza, ona ma do ciebie więcej zaufania, niż do mnie, pomów z nią, nie zwlekając, aby wyjaśnić sytuację.

Przejęta ważnością mej misji, pożegnałam śpiesznie panią L. i pojechałam do domu. Po drodze w metrze (kolej podziemna paryska) układałam sobie, co powiem Joannie i jak ją delikatnie wybadam, ale gdym się znalazła w domu, wszystko wywietrzało mi z głowy. Nawet nie wchodząc do mego pokoju, wdrapałam się na czwarte piętro. Przez szparę pod drzwiami Joanny widać było smugę światła. Zapukałam lekko:

— Czy mogę wejść?

— Proszę.

Joanna leżała w łóżku i czytała jakąś powieść. Odłożyła ją i zauważyła spokojnie:

— Tak wcześnie pani wróciła.

Popatrzyłam na nią uważnie i, jak mi się zdawało, badawczo. Nie, chyba niepodobna... A jednak... Tymczasem moja niema kontemplacja jakby ciążyła Joannie, bo odezwała się nagle:

— Dlaczego mi się pani tak przypatruje?

Aha, pomyślałam sobie, pani L. ma rację: Joanna boi się, że odkryłam jej tajemnicę. I wcale niedyplomatycznie wyrżnęłam prosto z mostu:

— Joanno, wiem wszystko!... Błagam, niech mi pani powie prawdę!

Byłam już pewną, że się nie myliłam, bo Joanna zaczerwieniła się, zamrugała oczyma i nagle zachlipała żałośnie:

— Ach, te nieszczęsne ściereczki; A myślałam, że mi się uda i że nikt nic nie zauważy!

Osłupiałam. Co mogły mieć wspólnego ściereczki z dramatem rodzinnym Joanny?

— Jakie ściereczki? O co chodzi?

— Bo widzi pani, objaśniała mnie popłakując Joanna, dwa tygodnie temu pani L. kupiła tuzin ślicznych płóciennych ściereczek. Chciałam je obrąbić i wyznaczyć, ale ponieważ właśnie robiłam porządki w całym domu, więc dwie ściereczki gdzieś mi się zarzuciły i ani rusz nie mogę ich znaleźć. Co ja się już naszukałam na wszystkie strony! I żyję teraz w ciągłej obawie, że pani L. spostrzeże ich brak, zanim je znajdę i gotowa pomyśleć, że to przez moje niedbalstwo. Ogromnie mi przykro. Chyba pójdę i kupię takie dwie ściereczki, ale sprzedają je tylko tuzinami i w jakimś specjalnym sklepie. No, i wydało się widać, skoro pani też wie o tem.

Dramat kończy się komedją. Mimowoli zauważyłam:

— Nie, pani L. nic o tem nie wie, ani ja też. Zresztą, dodałam, pani L. nie troszczyłaby się znowu tak dalece o dwie ściereczki, które zapewne się znajdą.

— Więc o co chodzi? — spytała Joanna zdumiona. Przestała płakać i patrzyła na mnie szeroko otwartemi oczyma.

Zmięszałam się. Czułam doskonale całą niedorzeczność podejrzeń romantycznych co do poczciwego Augusta Becker. Ale obeszłam kwestję po kobiecemu:

— Była pani trochę dziwna w ostatnich czasach, Joanno. I dlatego myślałyśmy obie z panią L., że coś w tem jest. Że może jaka bieda, albo jakie nieszczęśliwe zadurzenie się — dokończyłam z uśmiechem.

Joanna popatrzyła na mnie uważnie:

— Że pani L. tak myślała, to naturalne. Ale pani przecież wie, co ze mną było, bom pani powiedziała. Ani mnie do szczęścia, ani do zamęścia.

— Ależ, Joanno, niepodobna całe życie zmarnować dlatego, że ktoś — Panie świeć nad jego duszą — był niewiele wart. Błąd to ludzka rzecz.

— Moje życie i tak zmarnowane, odparła smutnie. Nie wszystkie serca jednakie i nie wszyscy ludzie jednacy. Umarło wtedy coś we mnie i darmo i trudno, już nie odżyje. Zamąż nie pójdę, bo i jak? Chłopa i robotnika ja nie zechcę, inteligent mnie nie weźmie. Chyba, że jakoś stworzę sobie byt niezależny, wtedy może. Ale to długo czekać. Tak jak do Polski daleko jechać.

Dokończenie nastąpi

WŚRÓD NAJMŁODSZYCH GWIAZDECZEK

Eleną Tanasco poznaliśmy w połowie ubiegłego roku, gdy występowała w Operetce dyr. Korolewicz Waydowej, w „Gejszy", a następnie w warszawskim Teatrze Operetka, w „Wesołej Wdówce". Były to jej debjuty sceniczne — narazie w niewielkich partjach baletowych. Młodziutka tancerka, licząca bez żadnej wątpliwości nie więcej ponad 17 lat, doskonale zbudowana, o wybitnej urodzie, odrazu zwróciła uwagę publiczności, a zwłaszcza znawców baletu, przeczuwających w tej młodej osóbce talent, odważnie sięgający po przyszłe laury. Ostatnio bawiła panna Elena w Pradze, gdzie tańczyła w Operze Niemieckiej, w „Aidzie". Przed kilkoma dniami powróciła znów do Warszawy.

Elena Tanasco jest Jugosłowianką; część swych lat dziecięcych spędziła w Czechosłowacji — zaciekawiło nas zatem, dlaczego już poraz drugi przybywa do Polski, mimo, iż chwilowo nie przewiduje żadnych występów na naszych scenach. Rozpoczynamy więc wywiad dziennikarski. Rozmawiamy potrochu w języku polskim, częściowo w niemieckim, ponieważ panna Elena dopiero uczy się naszego języka.

— Co panią sprowadziło do Polski? — zapytuję piękną dziewczynę, pragnąc wywiad skierować odrazu na najciekawszy temat.

— Jestem dopiero u progu zawodu tancerki — mówi szczerze panna Elena. — Wciąż jeszcze się uczę, a ponieważ Polska słynie z wysokiej klasy baletu i z dobrych profesorów tańca, postanowiłam tutaj prowadzić moje studja taneczne. To bardzo proste, nieprawdaż?

— Bardzo mi miło słyszeć wyrazy uznania dla naszej sztuki tanecznej — odpowiadam — a którzy z naszych profesorów zaznajamiali panią z arkanami tańca?

— Pierwszym moim nauczycielem był





Elena Tanasco

Pianowski, baletmistrz warszawskiej Opery. Następnie tańczyłam w „corps" baletmistrza Paplińskiego. Obecnie biorę lekcje u pani Bekeffi, uczenicy Pawłowej, a byłej współpracowniczki Teatru Reinhardta.

— A w jakich tańcach pragnie się pani specjalizować? — pytam dalej.

— Pociągają mnie — wyjaśnia młodziutka ballerina — tańce wschodnie, charakterystyczne, hiszpańskie. Oczywiście pobyt w Polsce wykorzystam przedewszystkiem na dokładne wystudjowanie tańców narodowych polskich. Oberek, mazur, to są wspaniałe tańce, a nigdzie nie wczuję się tak dobrze w ich charakter, jak tu, w ich Ojczyźnie!

— A jak dawno pani tańczy?

— Przyznam się, że nie tak dawno przerzuciłam się do tańca.

— O! przerzuciłam! To znaczy, że miała pani jakieś inne zamiłowania, zanim poświęciła się pani wyłącznie tańcowi?

— Tak jest. Pragnęłam początkowo pójść w ślady... Sonji Henie. Z zamiłowaniem uprawiałam sport łyżwiarski, a w szczególności jazdę figurową. Pasjami lubiłam tańczyć na lodzie. Nawet zdobyłam kilka sukcesów w tej dziedzinie. Na międzynarodowych konkursach jazdy figurowej w Pradze w Czechosłowacji, gdzie występowałam w barwach Jugosławji, uzyskałam dla swego kraju drugie miejsce. Stawałam też do konkursów łyżwiarskich w Opawie, w Zagrzebiu i w innych miastach Czechosłowacji i Jugosławji.

— Jest więc pani wszechstronną sportsmenką!

— Lubię szalenie sport! — mówi wesoło panna Elena — jeżdżę konno, dobrze pływam. Najbardziej lubię sport strzelecki; w kilku zawodach strzeleckich, w których brałam udział, zdobyłam odznaczenia.

— Czy nie przykro będzie pani porzucić ten świat swobody, ruchu, radości, jakim jest dziedzina sportu — dla długiej, a może i żmudnej karjery tancerki! — pytam na koniec Elenę Tanasco.

Młode, czarne oczęta przymykają się na chwilę w zamyśleniu.

— Radość odnajdę i w tańcu — słyszę po chwili. Nie wątpię w to, bo taniec pokochałam całem sercem. — A co do sportu, nie zapomnę o nim nigdy! Może pan być tego pewny!

Romit.



...i tak mamy małego szlema!

Pani gra dziś w bridge'a



Po wojnie bridge zajął w naszem życiu towarzyskiem tak poczesne miejsce, że można dziś śmiało mówić o modzie bridge'owej, w najszerszem tego słowa znaczeniu, gdyż dotyczy ona nietylko kwestji stosownego ubrania, lecz również nakrycia stołu do bridge'owej herbatki czy kolacji, urządzenia pokoju bridge'owego itp.

Trzeba przyznać, że w ostatnich czasach zaczęto grubo przesadzać z tą modą bridge'ową. Byłam raz na popołudniowym proszonym bridge'u, na którym nietylko porcelana przy herbacie zdobna była w karciane atrybuty, jak trefle, piki czy kara, lecz znaki te widniały również na popielniczkach, wyhaftowane były na obrusiku i serwetkach, aplikowane na poduszkach zdobiących fotele, a nawet — szczyt pomysłowości — wykrawane z wędzonego łososia i plasterków trufli, panoszyły się dumnie na kanapkach sera szwajcarskiego. Zanim wypito herbatę, miałam już tak dosyć pików, trefli, kerów i karów, że odeszła mnie ochota do gry. Patrzyłam zdziwiona, czy pan domu w roli króla nie dzierży w ręku berła, a pani nie wącha róży. Ta bridge'omanja wydała mi się w bardzo złym guście. I była nią, jak wszelka przesada.

Nie chodzi o nadużywanie atrybutów bridge'owych jako motywu dekoracyjnego, lecz o dyskretne a pomysłowe zastosowanie go. Wystarczy haftowany w znaki karciane obrusik do herbaty i powiedzmy jedna poduszka z granatowego lub czarnego sukienka, z aplikowanemi dwiema kartami, np. asem pik i karo. Popielniczki mogą przypominać bridge'a jedynie kolorem swej czarnej i czerwonej polewy, a kanapki — mogą śmiało pozostać „neutralne". Podobnie zastawa do herbaty powinna być elegancka i dyskretna w formie i dekoracji, a trzeba przyznać, że filiżanki upstrzone karcianemi znakami nie spełniają tego postulatu.

Jeśli chodzi o odpowiedź na najważniejsze pytanie, jak się ubrać do bridge'a, to nie sposób sformułować tego w jednem zdaniu, gdyż rozmaitość i dowolność w tej materji jest duża. Chodzi tylko o naczelną zasadę: tualeta przeznaczona do bridge'a nie powinna być zbyt „kobieca" i powiewna, zbyt jaskrawa w kolorze i skomplikowana w kroju. Najstosowniejsze do tego celu na popołudniu są ciemne suknie wełniane lub jedwabne, dwuczęściowe komplety z czarnego aksamitu złożone z gładkiej spódniczki i smokingowego żakiecika, eleganckie kazaki czy strojniejsze bluzki do ciemnej spódniczki, i — co dziś najmodniejsze: ręcznie na drutach robione suknie z jedwabnego kordonku lub jedwabiu bouclé.

Bridge wieczorne, połączone z kolacją, wymagają naturalnie sukien strojniejszych, lecz i one powinny odznaczać się prostotą i pewną surowością linji, w przeciwieństwie do sukien wieczorowych, przeznaczonych do tańca. Nieocenione usługi oddają tu utrzymujące się od roku w modzie wieczorowe kostjumy, w szczególności o kroju smokingowym i przebojowy „ostatni krzyk" tegorocznej mody — fraki. Dla pań, faworyzujących styl raczej męski, lansowany w ostatnich latach przez niektóre gwiazdy filmowe, np. Marlenę Dietrich, tak fraki jak i smokingi wieczorowe mogą być zrobione z cienkiego czarnego sukienka, wyłogi zaś i lampasy przy spódnicy będą wtedy jedwabne. Dla miłośniczek bardziej kobiecej linji kostjumy wieczorowe mają krój fantazyjniejszy, będący swobodną interpretacją klasycznego pierwowzoru smokingu czy fraka, a materjał ich może być bardziej strojny i kolorowy. Paryskie magazyny zaprezentowały nam tej jesieni parę modeli wieczorowych fraków w dwóch barwach: spódnica czarna, żakiet zaś w kolorze „corail", „vert jade" lub jasno-żółtym. Bardzo efektownie wyglądają fraki ze srebrnej lub złotej lamy, wykończone renwersami lub kołnierzem z czarnego aksamitu.

Lecz każda moda ma swoje przeciwniczki. Kobiety raczej niskie lub o linji mniej smukłej, słusznie unikają dwuczęściowych kompletów, które z konieczności skracają nieco figurę. Będą zapewne wolały włożyć na wieczornego bridge'a ciemne suknie z długiemi rękawami z lśniącego satin lub matowych krep czy jedwabi cloqué, których wieczorowy charakter podkreśli pęk kwiatów, piękny sztrasowy clipe lub ozdobna klamra.

Jak widzimy, wybór jest duży. Piękna pani potrafi zawsze wybrać taki typ bridge'owego stroju, w którym najlepiej się będzie czuła. A dobre samopoczucie przy bridge'u jest ważne nietylko dla niej, lecz i dla partnerów. Czyż można dobrze rozegrać cztery bez atu z kontrą, gdy się człowiek czuje niestosownie lub nietwarzowo ubrany?

Moda bridge'owa nie jest oczywiście tak wyraźnie scharakteryzowaną, jak np. moda sportowa. Łatwiej jest odpowiednio ubrać się do nart, czy do konnej jazdy, niż do bridge'a. Różnica między suknią wieczorową, a suknią przeznaczoną na wieczór bridge'owy jest bardzo subtelna; ale pamiętajmy, że subtelność rozgraniczeń jest podstawą wytworności.

Lady Like.



Do ciemnej wełnianej sukni popołudniowej świetnie nadaje się czarny pluszowy płaszcz, obramowany karakułami (Loretta Young).

ŻYCIE
TOWARZYSKIE I ARTYSTYCZNE

10 LAT PRACY SCENICZNEJ



Świetna tancerka Loda Halama, najstarsza z trzech sióstr, cieszących się zasłużoną sławą nietylko w kraju, ale i zagranicą, wystąpiła w ubiegły poniedziałek z własnym recitalem tanecznym na deskach Teatru Wielkiego w Warszawie. Ognisty temperament, znakomita technika, oraz rzadko widziana ekspresja zyskały jej miano „Wezuwiusza tańca", którem obdarzyły ją krytyki prasy zagranicznej, odnoszącej się zawsze z entuzjazmem do występów tej niezwykłej miary arstystki. Na zdjęciu: Loda Halama w tańcu „Zraniony ptak".

DWA ŚLUBY W KRAKOWIE



Dnia 7 stycznia odbył się obrzęd zaślubin w Krakowie córki znakomitego artysty-malarza prof. Teodora Axentowicza, Renaty, z p. Kazimierzem Kiemiewiczem, artystą-malarzem. W uroczystościach weselnych udział wzięli oprócz rodziny hr. Adamowie Żółtowscy, hr. Jerzowie Baworowscy, p. Andrzej Jałowiecki z małżonką, hr. Grabowska i inni. Na zdjęciu: Para Młoda w otoczeniu rodziny i gości weselnych.

Fot. „As".



W kościele N. P. Marji w Krakowie pobłogosławił ks. infułat Kulinowski związek małżeński znanej w kołach towarzyskich Krakowa p. Marji Schwarzówny z p. dr. Eugenjuszem Delnitzem, adwokatem z Łodzi.

PANI, O KTÓREJ MÓWI STOLICA.



Na lewo: P. Stefanja Millerowa, żona wiceprezesa Polskiego Związku Tenisowego, jest nietylko dobrą sportsmenką i przemiłą gospodynią domu, gromadzącego towarzyskie koła stolicy — ale przedewszystkiem znaną pieśniarką, której koncerty w warszawskiej Filharmonji, oraz recitale w tamtejszem Konserwatorjum ściągają stale wytworną publiczność, oraz prawdziwych miłośników i znawców muzyki.

Na zdjęciu p. Stefanja Millerowa przy swoim „Blüthnerze".

Fot „As".

J. FILIPOWSKI...

...młody, utalentowany skrzypek krakowski, który wystąpił w grudniu ub. roku z wielkiem powodzeniem przed mikrofonem Polskiego Radja.





PO BALU

Przypominam sobie, że przeglądając kiedyś stare roczniki „Kłosów" z lat owych, gdy babki nasze tańczyły bodaj, że jeszcze lansjera — znalazłem pełen nastroju rysunek Andriollego, zatytułowany: „Po balu". Młoda dziewczyna siedzi na staroświeckiem łóżku w skomplikowanej, pełnej koronek staromodnej tualecie balowej i patrzy w zadumie w okno, w którem szarzy się już mdły, zimowy świt...

Cóż się zmieniło od czasów Andriollego? Tualety, bale, tańce — lecz marzenia karnawałowe pozostały te same i te same witają dziś gości balowych mdłe świty, gdy nad ranem wracają do domów.

Książę karnawału zmienia swój strój — lecz dziś taksamo, jak i dawniej czaruje w krótkich nocach balowych młode panienki — tak samo, jak dawniej kusi mężatki i przypina zazdrosnym mężom rogi...

Nastrój karnawałowy jest pełen niedomówień. Panowie we frakach mówią do swych tancerek refrenami znanych piosenek. Słowa zwykle są zbyt precyzyjne — może zresztą trzebaby wziąć za nie zbyt wiele odpowiedzialności... Refrenem tanga, szeptanym w tańcu uroczej tancerce, można przecież tak wiele powiedzieć, a zarazem nie powiedzieć nic...

Tak samo, jak dawniej, tak i dziś młode panienki po powrocie z balu siadają na łóżku i wsparłszy główkę na splecionych dłoniach — marzą... Za oknami świta... W pamięci przesuwają się obrazy — uśmiechy — czyjeś oczy... Nie zawsze w świetle wstającego dnia ostać się zdołają złudne marzenia. Lecz ten andriollowski nastrój jest udziałem tylko tych najmłodszych... tych naprawdę jeszcze naiwnych. Dancing postawił bowiem kwestję tańca na innej płaszczyźnie — z jednej strony spospolitował w pewnym sensie przyjemności tańca, z drugiej zaś pozbawił go dawnej egzaltacji. Nowoczesna panna nie potrzebuje wyczekiwać długich miesięcy, aby tańczyć z .. Nim. Wystarczy przecież którejkolwiek soboty pójść poprostu na dancing. Współczesne pokolenie podchodzi do tych spraw z mniejszą egzaltacją; nie znaczy to jednak bynajmniej, że z mniejszym romantyzmem. Oczy zakochanej pierwszą miłością dziewczyny, posiadają dziś ten sam wyraz, co oczy zakochanych z epoki Andriollego.

Wszystko się bowiem zmieniło, prócz tęsknoty, którą wydobywa z nas upojna melodja tanga — karnawałowy nastrój roztańczonej sali...

Jak serpentyny snują się wspomnienia... Czy jutro, gdy wstanie świt, zerwie się delikatna, pajęcza nić nawiązanej sympatji? Czy w oczach jego odnajdzie jutro ten sam wyraz, który wszak nazwaćby można miłością....?

O jakże słodko szumi w młodej głowie echo balowej nocy..

J.



ANN SOTHERN: Blondynka czy brunetka?
GENE RAYMOND: To tajemnica nocy karnawałowej...
Fot. R. K. O. Radio



ON: Kiedy znowu panią zobaczę?
ONA: Nie wiem... może już jutro...

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.

KARDY bardzo mało u nas używana jarzyna jest rodzajem karczocha, ceniona przez smakoszy jako bardzo delikatna jarzyna zimowa. Wymaga specjalnego sposobu przyrządzania, który poniżej podajemy. Przy zakupnie uważać należy na świeżość. Zwiędłe kardy bywają po ugotowaniu gorzkie. Długie, mięsiste liście kardów, a raczej ich łodygi obcina się u wierzchołków i zeskrobuje kolczaste brzegi, następnie kraje na kawałki długości palca i gotuje w dużej ilości wody z solą i sokiem z cytryny lub paru łyżkami octu. Od czasu do czasu próbuje się czy włókna łatwo schodzą, wtedy odcedza się wodę, przelewa jarzynę kilka razy zimną wodą i obciąga każdy kawałek dokładnie z włókien. Tak przygotowane kardy wkłada się do rondelka na masło, zalewa trochę rosołem i kieliszkiem wina, dodaje sok z połówki cytryny i gotuje tak długo, aż będą zupełnie miękkie. Sos z pod wyjętych na półmisek kardów, zaprawia się jasną zasmażką z łyżeczki masła i mąki i polewa nim kardy na półmisku. Można też w miejsce sosu polać kardy rumianem masłem z bułeczką. Półmisek garniruje się **grzaneczkami z bułki ze szpikiem wołowym.** Do tego celu wykrawuje się z bułki małe grzanki, wycina pośrodku okrągłe wgłębienia i nie smarując niczem, obsusza je w piecyku lub na płomieniu. Osobno gotuje się w rosole lub słonej wodzie kość szpikową, a gdy szpik jest już przeźroczysty wytrząsa się go z kości ostrożnie aby się nie pokruszył, kraje w plasterki, które się nakłada do wgłębiania grzanek, każdy plasterek soli się, poprusza parmezanem i znaczy pośrodku nożem umaczanym w papryce, co bardzo ładnie wygląda. Grzanki takie nadają się również do innych jarzyn.

RAGOUT Z KISZONEJ KAPUSTY I MIĘSA, ALBO RYBY. 1 kg kapusty kiszonej zalewa się pół litrem wody, dodaje 15 dkg tłuszczu i gotuje wolno, aż zmięknie. W międzyczasie przyrządza się ragout, a mianowicie: W rondelku rozpuszcza się łyżkę masła, dodaje małą utartą na tarce cebulkę i ząbek czosnku, łyżeczkę siekanej zielonej pietruszki, smaży wszystko parę minut, potem zasypuje łyżką mąki i zalewa 1/4 l białego wina (może być jabłeczne). Wszystko zagotowuje się na gęsty gładki sos, który się zaprawia 1/4 l śmietany rozbitej z 3–4 żółtkami. W sosie tym podgrzewa się 50 dkg gotowanej ryby lub pieczeni wieprzowej, albo wołowej, pokrajanej w kostkę. Kapusta powinna być ugotowana tak, aby wcale w niej płynu nie było, o ile jeszcze płyn jest, musi się ją odcedzić; kapustę oraz ragout układa się warstwami w kamiennej rynce, przyczem pierwszą i ostatnią warstwę stanowić ma kapusta. Potrawę posypuje się bułeczką, zalewa częścią śmietany z żółtkami, pozostawioną do tego celu od przyprawy ragout, i wstawia na pół godziny do piecyka. Podaje się w tej samej rynce, otoczonej serwetą. Krokiety ziemniaczane jako dodatek osobno.

RÓŻNE MASŁA DO KANAPEK. Masło różowe. 10 dkg wędzonego łososia posiekać, dodać 10 dkg deserowego masła, utrzeć razem i przefasować przez sito. Zastudzone używa się do smarowania kanapek lub przystrajania półmisków. **Masło à la maître d'hôtel.** Łyżkę drobno siekanej zielonej pietruszki i szczypiórku uciera się z 10 dkg masła na jednostajną masę i dodaje łyżeczkę soku cytrynowego, szczyptę pieprzu i soli. **Masło musztardowe.** 3 twarde żółtka przeciera się przez sitko, dodaje łyżkę stołową francuskiej musztardy, łyżkę oliwy, soli i białego pieprzu i uciera z 10 dkg deserowego masła.

SANDACZ W FILETACH. Ryba ta, nasolona i zawinięta w serwetę powinna leżeć na lodzie najmniej 12 godzin, poczem się ją oczyszcza, płócze w kilku wodach, obsusza, obciąga ze skóry i kraje w filety na palec grube, kość grzbietową wyjmuje się ostrożnie, każdy plaster soli się i kropi cytrynowym sokiem, przyprósza pieprzem i obkłada listkami bobkowemi i krążkami cebuli, poczem odstawia się naczynie wraz z rybą w chłodne miejsce. Na pół godziny przed podaniem obsusza się filety serwetą po odrzuceniu listków i cebuli, osypuje tartą bułką zmieszaną pół na pół z mąką i smaży szybko na maśle z oliwą. Podaje się otoczone na półmisku fritkami. Osobno sałatkę majonezową lub sos majonezowy.

KRAJANKI MIODOWE (Dla p. A. S. z m. Łodzi). 1/4 l miodu i szklankę cukru zagotowuje się mieszając, aby się nie przypaliło, aż cukier się rozpuści. Na stolnicę przesiewa się 60 dkg mąki zmieszanej z łyżeczką sody czyszczonej, robi pośrodku mąki dołek, w który się wlewa ciepły miód, wbija 2 jaja, dodaje różnych miałko utłuczonych korzeni, wyrabia na gładkie ciasto, które się odstawia na kilka godzin. (Przez noc np.). Ciasto dzieli się na 4 części, z każdej wywałkowuje się pas szerokości dłoni, a długości blaszki, której się będzie do pieczenia używać. Środek pasa pokrywa się grubo słodką marmoladą, zmieszaną z siekanemi lub grubo tłuczonemi orzechami, krajanemi drobno figami, daktylami, suchemi konfiturami z dyni lub gruszek, zlepia brzegi ciasta ponad nadzianką, karbuje ładnie nożem, smaruje jajem i układa na blaszce. Tak postępuje się z wszystkiemi czterema kawałkami miasta. Upieczone dzieli się na drugi dzień na małe poprzeczne krajanki.

Sc. Ko.

PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI GOSPODARSKIE





Jeżeli przez przypadek pomiesza się jaja surowe z gotowanemi, można oba gatunki rozpoznać w następujący sposób: stawiamy jajka kolejno cieńszym końcem na stole, wprawiając je palcami w ruch wirujący, jak na to wskazuje ilustracja. Jajo świeże upadnie natychmiast, natomiast jajo ugotowane zacznie się kręcić przez chwilę jak bąk. Rozpoznanie, czy jajo jest ugotowane można również uskutecznić, prześwietlając je przed lampą lub świecą. Jaja ugotowane są mętne, świeże zaś przejrzyste. Lecz również i waga zmienia się: jaja świeże są cięższe od gotowanych. Celem zabezpieczenia jaj od pękania w wodzie należy przekłuć je igłą na grubszym końcu.

BANANY W CZEKOLADZIE

Banan może się zczasem sprzykrzyć zpowodu swego mdłego nieco smaku. Unikniemy tego, podając je w czekoladzie na sposób francuski. Obrane banany wkłada się na chwilę do stopionego masła deserowego, potem smaruje się je zapomocą pendzla roztopioną czekoladą, a następnie wstawia celem obeschnięcia w zimnem miejscu lub na lodzie. Jest to danie zarówno smaczne, jak i estetycznie wyglądające.

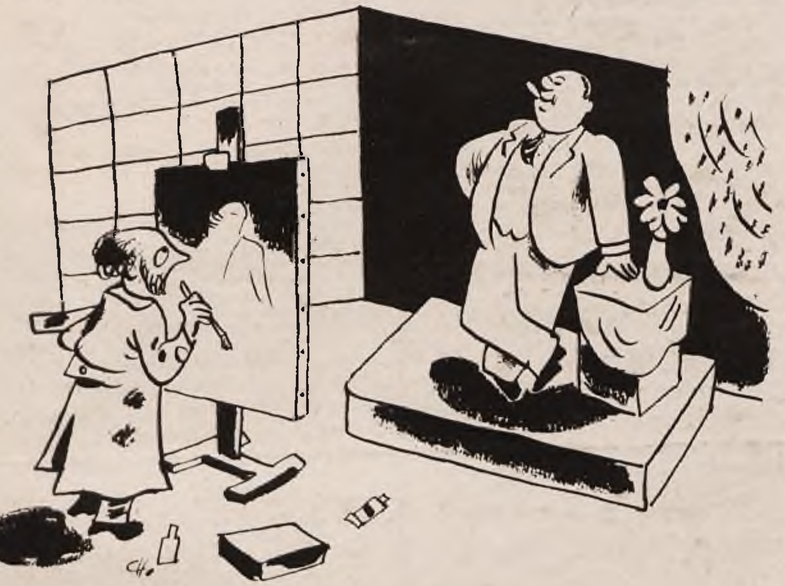
7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 4 — **Styczeń** — 31 dni

NIEDZIELA **17** Antoniego pust.	Zupa "Julienne".Omlet z pieczarkami.Pularda pieczona z kompotem.Galaretka morelowa. <u>Kolacja</u>:Szynka zwijana z sałatką.
PONIEDZ. **18** Pryski p.	Rosół z lanem ciastem.Budyń ze szpinakiem.Mostek cielęcy nadziewany kiełbaskami z ziemniaczkami.Kompot. <u>Kolacja</u>:Naleśniki z słodką kapustą lub tatarczaną kaszą.
WTOREK **19** Henryka	Zupa rumiana z śmietaną.Sztuka mięsa zapiekana z chrzanem.Nóżki cielęce smażone w cieście.Pączki serowe. <u>Kolacja</u>:Płatki z szynką.
ŚRODA **20** Fabjana	Zupa z dziczyzny.Ragout z mięsa lub ryby z kapustą. Klops nadziewany jajami z sałatą z fasolki.Suflet z jabłek. <u>Kolacja</u>:Rizotto.
CZWARTEK **21** Agnieszki	Krupnik na grzybach.Kardy w sosie.Zając w naturalnym sosie z kluseczkami.Legomina z grysiku wypiekana. <u>Kolacja</u>:Móżdżki z jajem.
PIĄTEK **22** Wincentego	Barszcz na śmietanie z ziemniaczkami.Bukiet jarzynowy.Filety z sandacza z kro=kietkami.Strudel drożdżowy z orzechami. <u>Kolacja</u>:Kanapki śledziowe,sery.
SOBOTA **23** aślub. NMP.	Zupa pieczarkowa z grzankami.Fasolka na kwaśno.Pieczeń wołowa na dziko lub sarnina z makaronem.Pączki. <u>Kolacja</u>:Pasztet z dziczyzny.

HOCKI-KLOCKI



WYROZUMIAŁY MODEL.

— Właściwie powinienem malować pana dyrektora we fraku!

— Ależ to zbyteczne, może pan spokojnie pozostać w swym płaszczu malarskim!..

Rys. Charlie

OBAWY DUCHÓW W CZERWONEJ HISZPANJI.

— Uciekajmy! Zamek jest podminowany!

„Il Travaso delle Idee"



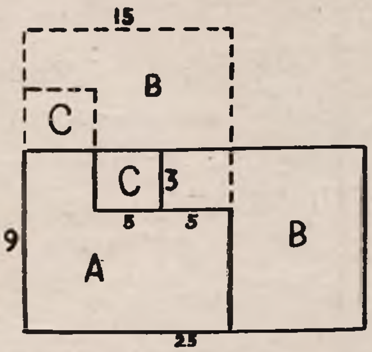
Rozwiązania z N-ru 2-go.

KLEPSYDRA.

W górnej części klepsydry będzie tyle samo piasku co i w dolnej po jedenastem odwróceniu.

Po każdym nieparzystym odwróceniu, zaczynając od 1-go, w górnej części pozostaje 5 minut piasku. Po szóstym nieparzystym odwróceniu, czyli po 11-tem odwróceniu wogóle, pozostanie w górnej części 30 minut piasku i ta sama ilość w dolnym.

PRZERÓBKA DESECZKI.



Rozwiązanie zadania wskazuje rysunek.

PRZEWIDUJĄCY.

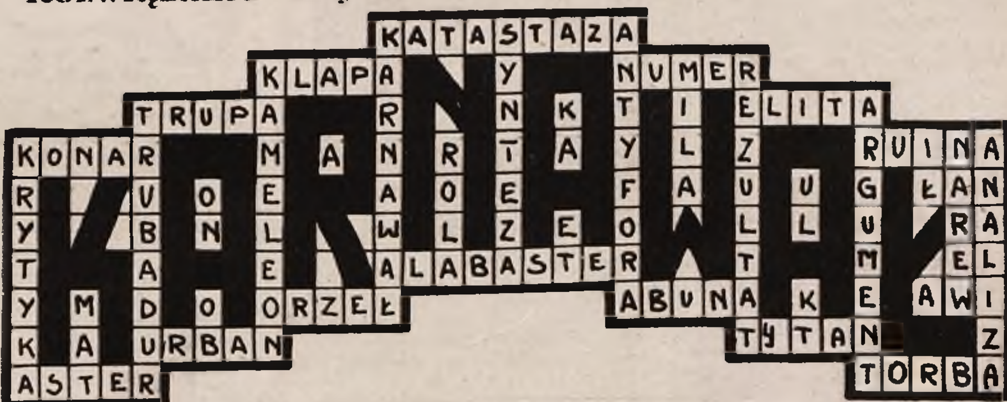


— Dlaczego pan wziął tak młodego adwokata?

— Zrobiłem to celowo, zanosi się na długi proces!..

Rys. Charlie

Rozwiązanie krzyżówki z Nr. 2.



DWA POCIĄGI.

Jeden pociąg szedł dwa razy prędzej od drugiego.

NA MANEWRACH.

Dwoje dzieci popłynęło na przeciwny brzeg rzeki. Jedno dziecko wysiadło na brzeg, drugie wróciło. Teraz do łodzi wsiadł żołnierz, przeprawił się na drugi brzeg, a czekające tam dziecko przewiozło łódź z powrotem. Zatem aby przeprawić jednego człowieka trzeba było czterokrotnie przepływać rzekę. Ponieważ osób do przeprawienia się było wraz z oficerem 358, więc łódź wraz z ostatecznym zwrotem prawym właścicielom, przepłynęła rzekę 1432 razy.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

WIEŻA W PIZIE.

Gdy podróżowałem po Włoszech, zbierając materjały do swej książki „Badania nad kulturą makaronów", opowiadał profesor, znalazłem się pewnego razu na szczycie pochyłej wieży w Pizie w towarzystwie amerykańskiego turysty. „Jaka ta wieża krzywa", zauważył mój towarzysz, „my w Ameryce potrafimy budować o wiele lepiej. Gdyby któryś z naszych drapaczy był tak nachylony, budujący go architekt mógłby się pożegnać z dalszą karjerą".

Gdy znajdowaliśmy się na wysokości 52 metrów od ziemi, zadałem Amerykaninowi następujące pytanie: Jeśli upuścimy stąd elastyczną kulę, która przy każdym odbiciu od ziemi będzie się wznosiła na jedną dziesiątą wysokości, z której spadła, to jaką ogółem drogę przebędzie kula, zanim się znajdzie w zupełnym spoczynku?

KOTY I MYSZY.

Jeśli pięć kotów zjada pięć myszy w pięć minut, to ile trzeba kotów do zjedzenia stu myszy w sto minut.

STRZASKANA TARCZA.



Kula rewolwerowa przebiła tarczę zegara w ten sposób, że pęknięcia powstałe naskutek przebicia podzieliły ją na cztery części. Sumy cyfr w poszczególnych częściach utworzyły, jak to widać na rysunku, dwa razy po dwadzieścia oraz 19 i 21. Czy można podzielić tarczę zegara w ten sposób na cztery części, żeby sumy cyfr w każdej części z osobna wynosiły 20?

To warto poznać..

NA SCENIE.

Teatr Polski w Warszawie gra obecnie z wielkiem powodzeniem znakomite **„Wesele Figara“**, komedję Beaumarchais'ego w przekładzie Boya-Żeleńskiego. Przekład — jak pięknie powiedział Wierzyński — wart pocałowania mistrzowskiej ręki Boya. Ale Boy ma jeszcze inną zasługę. Arcydzieło Beaumarchais'go zbliżył i udostępnił widzom i czytelnikom poważną ilością świetnych artykułów. Po przedstawieniu dał również świetnie napisaną recenzję, w której scharakteryzował przedstawienie warszawskie i osiągnięcia reżyserskie Aleksandra Węgierki.

Reżyser bowiem inteligentnie i szczęśliwie wprowadził liczne nowatorstwa i odchylenia od tradycji. Przedewszystkiem „odoperzył“ komedję Beaumarchais'go. Węgierko, który gra równocześnie tytułową rolę odlokail (wciąż cytujemy Boya-Żeleńskiego) Figara „Choć refleksyjny raczej tempera-



IRENA GRYWIŃSKA,
świetna artystka i reżyserka, gra obecnie główną rolę Anny Del brück w sztuce „Tajemnica lekarska“ w Teatrze Kameralnym w Warszawie.

ment p. Węgierki dość odległy jest od tradycyjnego Figara, tak iż objęcie przez niego tej roli mogło się wydać paradoksem, ten jego Figaro leży na nim jak ulał i z każdą sceną coraz to bardziej podbija i przekonywa widzów. To jest jakby Figaro szczęśliwie odwrócony“. „To podniesienie Figara w jego godności osobistej bardziej zdaje się odpowiadać poczuciu dzisiejszego widza i wychodzi na korzyść sztuki“. Jako dalsze szczęśliwe reżyserskie inowacje Węgierki podkreśla Boy „odbronzowienie płaszcza Almawiwy“ i przywrócenie sensu roli Marceliny. Zaostrzenie społecznej wymowy utworu nie pozbawiło go bynajmniej wesołości, przeciwnie warszawskie przedstawienie „We-



JANINA ROMANOWNA,
świetna artystka liryczna, gra z kapitalnym temperamentem i wdziękiem rolę Zuzanny w „Weselu Figara“ Beaumarchais'go w Teatrze Polskim w Warszawie.

sela Figara“ jest jednem z najweselszych. Modernizacja wyraziła się również i w stronie technicznej widowiska, w efektownych dekoracjach Śliwińskiego, prze-pięknych kostjumach Węgierkowej i nastrojowej ilustracji muzycznej Schillera.

Przedewszystkiem zaś aktorzy grają wybornie i wesoło, z Węgierką na czele. Jego partnerką w roli Zuzanny jest Romanówna, która „wydobyła z siebie radosne i zaraźliwe podniecenie młodej oblubienicy, stanowiące wdzięk roli Zuzanny“. Wraz z Lindorfówną stanowi Romanówna piękną stylową parę. Doskonale Cherubina gra Wasiutyńska a Marcelinę Małyniczówna. Almawiwę gra bardzo ciekawie Chodecki, a — jak pisze Wierzyński — „upał śmieszności uderza ze sceny“, gdy wchodzi na nią Zelwerowicz, odtwarzający rolę Gąski. Reszta wykonawców z Lidją Wysocką, Ziejewskim, T. Chmielewskim i Małkowskim na czele gra bez zarzutu. Tańce przygotowała Hryniewiecka. Świetna komedja, piękna feerja.

Teatr Kameralny wystawił obecnie sztukę W. Fodora **„Tajemnica lekarska“**, której treścią jest nowe ujęcie konfliktu rodzinnego. Żona młodego malarza, szalenie przywiązanego do domu, jest doktorką i poświęca dom, męża dla pacjentów i szpitala. Mąż tymczasem znajduje pocieszycielkę w siostrze żony, która u nich mieszka. Ta, spodziewając się potomstwa, zostaje pacjentką siostry, a kobieta-lekarz rezygnuje z męża, usuwa się, ułatwiając połączenie się tych dwojga dla ich i przyszłego ich dziecka szczęścia. Ten wątek dramatyczny rozwinięty został wcale pomysłowo. Sztuka grana jest bardzo dobrze przez Grywińską, równocześnie doskonałą reżyserkę przedstawienia, Skubniewską, Bendę, Kwaskowskiego i in. Adwentowicz gra mistrzowsko, tryskający humorem epizod. **(h).**

SZOPKA SATYRYCZNA

W Krakowie, w zabytkowej sali Tetmajerowskiej u Hawełki, grana jest codziennie **„Satyryczna szopka u Hawełki“**, pióra lubianych humorystów Ireny Szczepańskiej, Zbigniewa Grotowskiego i Karola Müllera. Szopka, poruszająca tematy polityczne, społeczne i kulturalne ogólno-polskie i międzynarodowe, a w szczególności krakowskie, posiada bardzo dobre teksty i piosenki, dowcipne, niezawodne w ostrych sztychach, a nigdy nie wulgarne. Kukiełki wykonał art. mal. Stasiniewicz.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 17 stycznia.

8.00 Audycja poranna.
9.00 Transmisja nabożeństwa.
12.03 Poranek muzyczny.
14.45 Muzyka ludowa.
15.30 „Audycja dla wsi“.
16.00 „Zielone kolędy“.
16.15 „Potrójny ślad“ — słuchowisko.
17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie“
19.20 Płyty.
21.00 „Na wesołej lwowskiej fali“.
21.30 Recital fortepianowy Stefana Aszkenazego.

Poniedziałek, 18 stycznia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 „Audycja dla szkół“.
12.03 „Cyganie w muzyce“ — koncert
12.50 „Czy warto jeszcze mówić o myciu“ — pogadanka.
15.15 Najnowsze płyty Lucyny Szczepańskiej i Mieczysława Saleckiego.
15.55 „Wszystkiego po trochu“.
16.15 „Skrzynka językowa“.
16.30 „Szczedriwki“ — audycja w wyk. Świętojurskiego Chóru.
17.00 „O badaniach orjentalistycznych“ — odczyt.
17.15 Pieśni Ludwika Beethovena.
17.35 Robert Casadesus gra Koncertstück f-moll Webera.
18.50 „Godny naśladowania przykład“ — reportaż ze wsi Ordzianów.
19.00 Audycja żołnierska.
19.30 Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.
21.00 „Poezja miłości“ — fragment słuchowiskowy.
21.30 „Na chłopskiem weselu“, suita.
22.00 Koncert symfoniczny pod dyr. Neumarka z udziałem Łopatnikowa.
23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, 19 stycznia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół (dla dzieci młodsz.) „Na śniegu i na lodzie“ — Stanisława Sojeckiego z Poznania.
12.03 Muzyka włoska.
15.15 Orkiestra i piosenki argentyńskie.
16.30 Muzyka hinduska — reportaż z płyt.
17.15 „Dni powszednie państwa Kowalskich“ — powieść mówiona.
17.30 „Sonaty skrzypcowe Ludwika Beethovena“.
17.50 „Życie papierowe“ — monolog.
19.00 „Dyskutujmy“ — „W jaki sposób książka wychowuje dziecko?“.
19.20 Mała Orkiestra P. R.
20.00 Koncert Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki z okazji 10-lecia jego działalności.
21.50 Muzyka taneczna.
22.30 Poezja powstania styczniowego.
22.45 Muzyka taneczna z kawiarni.

Środa, 20 stycznia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Muzyka popularna.
15.15 Uwertury i fantazje operetkowe.
16.10 „Czem jest twój tatuś?“ — „Piekarzem“ — audycja dla dzieci.
16.25 Koncert orkiestry P. R.
17.00 „Rola marynarki wojennej“ — odczyt.
17.15 Koncert solistów.
17.50 „Obrazek z życia miasteczka“ felieton.
18.50 „Nie marnujmy czasu i młodości“ — pogadanka.
19.00 „Pojedynek Dowejki z Domejką“ — opowiadanie Melchjora Wańkowicza.
19.20 Muzyka lekka.
21.00 „Opowieść o Chopinie“ — VIII wieczór.
21.40 Ernest Chausson: Koncert podwójny na skrzypce i fortepian
22.20 Muzyka taneczna.

Czwartek, 21 stycznia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Poranek dla młodzieży szkół powszechnych.
12.03 Arje operetkowe.
12.50 „Samokształcenie“ — pogadanka.
15.15 Muzyka salonowa.
16.35 Zapomniane pieśni w wykonaniu chóru.
17.00 „Płatna praca terminatorów a bezrobocie“ — odczyt.
17.15 Wolfgang Amadeusz Mozart.
19.00 „Nieznany rapsod“ — premjera słuchowiska w Teatrze Wyobraźni.
19.45 Koncert Małej Orkiestry P. R.
21.00 Audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich“.
21.45 Muzyka taneczna.
23.00 Koncert pod dyr. Namysłowskiego.

Piątek, 22 stycznia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 Audycja dla szkół.
12.03 Koncert w wykonaniu orkiestry wojskowej..
15.15 Pieśniarze murzyńscy.
16.30 Muzyka lekka.
17.00 „Przez kraj wiatraków i rzek płynących w górę“ — felieton.
17.15 Dwie serenady.
18.50 „Karnawał na wsi“ — pogadanka.
19.00 „W lasach“ — fragment.
19.20 „Z pieśnią po kraju“.
19.45 Fragment operowy.
20.00 Pogadanka muzyczna.
20.15 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej.
22.30 „Poradnia świadomej prawdy“, skecz.

Sobota, 23 stycznia.

6.30 Audycja poranna.
11.30 „Śpiewajmy piosenki“.
12.03 „Piotr Mascagni, kompozytor i dyrygent“.
11.30 „Zima w lesie“ — słuchowisko dla dzieci.
15.15 Koncert z udziałem Czaplickiego.
16.15 Popularne melodje Georga Bizet'a.
17.00 Koncert solistów.
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą „Wesoła wieczornica“.
19.30 „Przy wieczornej herbatce“ wiązanka melodyj.
20.30 Nowości literackie.
21.00 Muzyka rozrywkowa z Włoch.
22.00 „Wesoła Syrena“ — „Małżeństwo z ogłoszenia“.
22.30 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.